Nr. 1. Warszawa, dnia 3 Stycznia 1891 r. (22 Grudnia 1890 r.) Rok XI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWY ROK.

Na przełomie lat każdy człowiek posiada dwie twarze: jedną zwraca się ku przeszłości i ogląda czyny spełnione, drugą — ku przyszłości i goni wzrokiem przebłyskujące z niej nadzieje. Właściwie kalendarz między starym a nowym rokiem nie przeciąga żadnej granicy, nie zamyka jednego szeregu wypadków i nie otwiera drugiego, a te same rozmyślania, które wysnuwamy 31 grudnia lub 1 stycznia, moglibyśmy z równą słusznością prząść 25 października lub 13 czerwca. Zwyczaj jednakże, który zawarł życie ludzkie w pewne okresy, wyznacza nam pewne chwile do obrachunków i rozpamiętywań. Więc objąwszy wzrokiem w numerze poprzednim rok ubiegły, spojrzyjmy po zamglonym widnokręgu następnego.

Wszystkie państwa trzymają się na stanowiskach wyczekujących, żadne nie chce podjąć śmielszego przedsięwzięcia, wywołać głębszego przełomu. Wyjątek stanowią Niemcy, a raczej ich cesarz, który wprawdzie również nie dotyka wątłej tkaniny stosunków zewnętrznych, ale za to z wielką odwagą zabiera się do wewnętrznych. Każde stronnictwo, jeżeli zechce, może w nim znaleźć wyraziciela swych dążeń: jest on bowiem po trosze konserwatystą, liberałem, opiekunem robotników, postępowcem itd. Nie jest wszakże hetmanem żadnego z tych obozów. Pragnie on z gotowych najrozmaitszych żywiołów stworzyć mieszaninę podatną swej woli. Jak daleko ta wola może być siłą rozstrzygającą i regulującą, dopóty będzie nadawała formy układowi stosunków i bieg rozwojowi wypadków. Ale w państwie, bądź co bądź, konstytucyjnem, zakres władzy monarszej ograniczony jest innymi czynnikami; co przeto wyniknie ze współdziałania lub starcia się tych sił — trudno orzec, tem bardziej, że planom Wilhelma II brak należytej jasności. Stawia on swojemu narodowi ideały nieuchwytne, wzory nikłe, sny rozwiewne, jego polityka nie jest systemem reform wyraźnie określonych, ale raczej pasmem mgieł błyszczących. Pomimo to wywrze ona wpływ nietylko w obrębie Niemiec pod jednym względem: mianowicie, poruszy szereg zagadnień i spraw przytłumionych, zepchniętych z porządku dziennego, a ważnych i żywotnych. Ażeby Wilhelm II węzły gordyjskie rozwikłał lub rozciął — nie wierzymy, ale wierzymy, że je na wierzch wydobędzie i zwiąże z uwagą publiczną. Zasługi takiej nie należy lekceważyć w czasie, kiedy właśnie te najżywotniejsze sprawy zostały poplątane matactwem, poprzecinane gwałtem, odgrodzone od sprawiedliwości oszustwem. Dla uprzytomnienia sobie różnicy porównajmy Francyę lub Anglię z Niemcami: pierwsze mają więcej swobody, więcej materyalnego dostatku, ale ileż w ich łonie wre sztucznie tłumionych procesów, nędzy, buntu, niezadowolonych pragnień! Tymczasem w Niemczech, dzięki Wilhelmowi II, wszystkie wysypki społeczne wydobywają się na skórę narodu, pozwalają przynajmniej lepiej określić chorobę, jeżeli nie znaleźć lekarstwa.

Cokolwiek u siebie i dla potrzeb miejscowych robi potężne państwo, zawsze przykładem lub następstwami swych czynów oddziaływa na zewnątrz. Przy gorączkowym temperamencie i reformatorskim umyśle Wilhelma II spodziewać się można, że rok przyszły wprowadzi Niemcy w epokę zmian i rozwiązywania najważniejszych zagadnień chwili, a ruch ten niewątpliwie udzieli się całej Europie. Może nie będziemy świadkami doniosłych wypadków, ale niewątpliwie będziemy świadkami wzmożonych dążeń i nowych porywów.

A wojna?—pytają Sfinksa wszyscy, którzy jej cień widzą przesuwający się przez życie ludów i oczekują od burzy „oczyszczenia powietrza." Odpowiedź niemożliwa. Tyle już „wiosen," uparcie ze starciami orężnemi wiązanych, zadało kłam wróżbom, że tylko bardzo pośledni prorok może tu na przepowiednię się ważyć. Wiemy, że ani jedno państwo nie zmniejszyło swych ofiar składanych na ołtarzu Marsa i przygotowań wojskowych, że niektóre jawnie lub skrycie wytężają dalej swe siły, że militaryzm pochłania główne zasoby narodów, ale kiedy „pokój zbrojny" przestanie być — wbrew życzeniu Bismarka — „instytucyą stałą"— tego nikt nawet przybliżenie powiedzieć nie zdoła. Zwolennicy więc ryzyka niech grają dalej na loteryi „wiosennej," niech się wpatrują w „chmury widnokręgu politycznego," niech chwytają w locie roznoszone przez wiatr nowiny, a ludzie przezorni niech badają fakty pewne i wyprowadzają z nich wnioski prawdopodobne. Ani te fakty, ani te wnioski nie dają nam dotychczas odpowiedzi na postawione wyżej pytanie. Z ostatnich doświadczeń możemy wyciągnąć tę tylko regułę, że w obecnem życiu politycznem najpewniejsze są niespodzianki, tj. wypadki, których nikt nie przeczuł, a które nagle wywierają daleko sięgający wpływ na losy świata.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jak corocznie i tym razem cisza świąteczna powstrzymała żywszy ruch w polityce. Tę właśnie ciszę wybrał sobie milczący od pewnego czasu „Herzog v. Lauenburg" na głośne rozmowy z deputacyą strasburską i publicznością dworcową, która go witała podczas przejazdu przez Berlin. Widocznie zebrało się w nim znowu dużo starej żółci, bo upuścił ją obficie. Nie taił przed strasburczykami, że mu przymusowa bezczynność dokucza, że podobnym jest do skrzyni rakiet, które wybiegłyby w górę, gdyby je zapaliła iskra. Niestety, ręka, która jedynie mogłaby zapalić tę iskrę, nie chce zadać sobie trudu i ks. Bismarck musi jedynie politykować między Friedrichsruh a Warzinem. Rzecz dziwna, do jakiego stopnia ten człowiek, już ostatecznie skazany na życie prywatne, rozmyśla ciągle o uci-

sku i zaborach. Nietylko bronił swego pomysłu, utrudniającego za pomocą obostrzeń paszportowych stosunki na granicy francusko-niemieckiej (chociaż przyznał, że ucierpieli na tem ludzie najniewinniejsi), ale jeszcze raz rozbabrywał fakt przyłączenia Alzacyi i Lotaryngii, możliwość zawojowania Holandyi itd. On po prostu nie umie myśleć, nie zająwszy się grabieżą dokonaną lub możliwą. Rdzeniem wszystkich jego wywodów jest zawsze kwestya: kto kogo może napaść i złupić?

Stęskniony za owacyami, dziękował publiczności, która go powitała w przejeździe na dworcu kolejowym w Berlinie, podawał czcicielom rękę bez wyboru i nawet rozprawiał z roznosicielami gazet. *Sic transit gloria mundi!*

Nawymyślawszy sobie do syta i obiwszy się niejednokrotnie, przywódcy narodu irlandzkiego wyjechali do Paryża, ażeby tam spróbować zgody między zwolennikami i przeciwnikami Parnella. I on tam się udał, a z nim przyczyna całej rozterki, pani O'Shea, która wkrótce ma połączyć się ślubami z kochankiem. Spotkanie to urządził wracający z Ameryki O'Brien, który po powrocie do Anglii musi osiąść w więzieniu i dla tego ściągnął towarzyszów na grunt obcy. Oświadczył on się przeciw Parnellowi, lecz tyle zachował dla niego czci i tak wierzy w jego ważność dla kraju, że pragnąłby koniecznie pogodzić obie strony. Ale „niekoronowany król Irlandyi" pojechał podobno na naradę z zamiarami bardzo niepojednawczymi.

Po ostrem wystąpieniu ministra spraw wewnętrznych w sprawie ordynacyi gminnej, zwróconem głównie przeciwko konserwatystom sejmu pruskiego, naderwał się ścisły i długoletni ich związek z rządem. Sama kość niezgody nie jest przedmiotem ważnym, a różnice stanowisk i poglądów dałyby się łatwo wyrównać wzajemnemi ustępstwami, ale objaw częściowej separacyi małżonków, którzy dotychczas żyli z sobą w najprzykładniejszej zgodzie, nasuwa wzgardzonemu bardzo posępne myśli. Konserwatyści widzą, że rząd nie uważa już ich za swoją opokę, że w pewnych wypadkach może sobie poszukać oparcia śród innych żywiołów. Ks. Bismark ze swojej kryjówki za pomocą telefonu hamburskiego doradza im opór, ale oni lepiej od niego pamiętają własne jego wyrazy, które kiedyś wypowiedział w parlamencie: kto walczy z polityką rządu, walczy z królem. A przecież na to feodałowie odważyć się nie zechcą.

Minister wojny, Freycinet, wystąpił jako kandydat do senatu. Naturalnie niektóre dzienniki usiłują zagrodzić mu drogę do tej godności — jak zwykle — złorzeczeniami. Mniejsza o pisemka ze złym języczkiem, ale w tej gromadzie widzimy także *Journal d. Debats*. Gdyby uwierzyć tej gazecie, należałoby przypuścić, że Freycinet jest kpem ostatniego rzędu, który nieudolnością swoją naraża Francyę na największe niebezpieczeństwo w razie wojny. Ale kto bierze na seryo twierdzenia gazet francuskich!

SPRAWY EKONOMICZNE.

MÓZG WOBEC MASZYNY.

Do piśmiennictwa naszego za Marksem, który już prawie cały odział się w szatę języka polskiego, powoli zaczynają wkraczać inni przedstawiciele krytycznej szkoły w ekonomii. Pierwszy z nich zawitał Paweł Lafargue, tak mało jeszcze znany szerszemu kołu naszych czytelników. Jego broszurkę z wypisanym poniżej tytułem polskim przyswoili już sobie niemcy (p. n. *Das Proletariat der Hand- und Kopfarbeit*) i rosyanie (p. n. *Maszina kak faktor ekonomiczeskawo progresa*; *Siewiernyj Wiestnik*). W tej szczupłej, 63-stronicowej książce *), autor zdołał obrazowo a jasno przedstawić cały proces rozwojowy, jakiego maszyna, zastosowana sposobem kapitalistycznym, dokonała w łonie produkcyi tegoczesnej. Nadto roztoczył przed czytelnikiem wspaniałe widnokręgi przyszłości. Maszyna, zgodnie ze znakomitem uogólnieniem Marksa, wysnutem z rozwoju wielkoprzemysłowego kapitalizmu, występuje w wykładzie Lafargue'a raz jako pustoszycielka starej rzemieślniczo - rękodzielniczej produkcyi, to znów jako skupicielka i organizatorka nowej. Nie pominięto tu żadnego z następstw jej właściwości techniczno-ekonomicznych, ujawniających się pod wpływem ręki kapitalistycznej. Dola najmity fizycznego i umysłowego, jej najprawowitszych dzieci, zagłada indywidualizmu rzemieślniczego, rozkład rodziny robotniczej i w parze z nim zabójcze współzawodnictwo syna — wyrostka z ojcem, męża i brata z żoną i siostrą — wszystkie te, jak i wiele innych wyników tryumfalnego pochodu maszyny, zostały pochwycone i odtworzone w porządku rozwojowym.

Dezorganizacya ta dokonała się w następującej kolei. Skoro po raz pierwszy użyto prężności pary jako nowej potężnej siły, rękodzielnictwo już dla maszyny przygotowało pole: zaprowadziło dalszy techniczny podział pracy, wyzuło rzemieślnika z wszechstronności zawodowej i zepchnęło go na poziom cząstkowego robotnika. „Zręczność techniczna przeszła w spadku od robotnika na maszynę." Najemnik stał się kółkiem w jej mechanizmie — automatem, żywym dodatkiem. Rzemieślnik i rękodzielnik sami kierowali narzędziami swojemi, dzisiejszy najmita wielkoprzemysłowy jest kierowany przez maszynę: musi postępować naprzód, schylać się, podnosić nogi i ręce, jak ona mu każe, bo inaczej wytwór uległby zniszczeniu. Ten tryumf bezdusznej techniki nad żywym organizmem, przy systemie najmu siły roboczej — jest też warunkiem wszechwładztwa kapitalisty. Pod dążnościami techniki maszynowej ukrywa się inna — ekonomiczna.

Ponieważ już zręczny robotnik może przy maszynie być zastąpiony przez wyrobnika dziennego, mężczyzna—przez kobietę, ta—przez dziecko, znikają więc wszelkie więzy kapitału. Najemnik zyskuje przytem nieograniczoną swobodę współzawodniczenia z maszyną i towarzyszami. Cel jest osiągnięty: jedność rodziny, jako jednostki gospodarczej, pierzchła, każdy z jej członków (ojciec, matka, dziecko) starać się musi sam o swoje utrzymanie. Koroną tego faktu jest zniżony poziom zarobkowy. Za tę samą płacę wymieniona zostaje większa suma siły roboczej. Lafargue przytacza nieznany dla czytelnika polskiego fakt istnienia w stanie Massachusetts miast, gdzie pracuje 35 mężczyzn, 51 kobiet i 14 dzieci. Miasta takie noszą tam nazwę *she-towns*, tj. „babich." Ktoś z obrońców ognisk rodzinnych, wobec tego potwornego zjawiska zadaje pytanie: „Co się stanie z mężczyznami? Nie znajdują żadnej roboty, a żony i dzieci zarabiają za mało, aby mogły ich wyżywić?"

*) Paweł Lafargue, *Praca umysłowa wobec maszyny*, Warszawa, 1890. Cena 35 kop.

---

1)

ZROZPACZONY

Elizę Orzeszkową.

...„Niech dyabli wezmą taki świat i takie życie, jak to, które nam urządziła ta nasza wielka, znakomita cywilizacya! Było, zaprawdę, po co przez tyle wieków suszyć sobie głowy, łamać karki i nadwyrężać kości! Tylu mędrców i bohaterów, tyle geniuszów i talentów, tyle kłótni, wojen, hałasu, a nadewszystko pracy i cóż z tego wynikło? Policzyli na niebie gwiazdy i zbadali drogi, któremi one podróżują, zmierzyli ziemię i naokoło ją objechali, do usług swoich zaprzęgli zwierzęta i użyźnili pustynie, góry poprzebijali na wylot i połączyli morza, najdziksze w naturze żywioły na posłuszne sobie niewolnice zamienili, nabudowali niezliczoną ilość miast, pałaców, muzeów, cudownych katedr, bajecznych wież, zasmarowali farbami bezmiar płótna i zapisali różnymi sposobami nieskończoność cegiełek, papyrusów, pergaminów i bibuły, w sztuce pasztetnictwa dosięgli najwyższego stopnia doskonałości i doprowadzili storczyki do bajecznej ceny 25-ciu rubli za jeden egzemplarz — i cóż z tego wynikło? Oto, że ja, ja, ja czuję się tak nieszczęśliwym, iż dłużej żyć nie chcę. Może tam ktokolwiek z tych wszystkich prac i zdobyczy odniósł jaką korzyść; nawet tak, najpewniej, odniosła ją garść pączków pływających w maśle, Heliogabalów przewracających się na fiołkach, Midasów, którzy aż po swoje długie uszy grzęzną w złocie. Ale ja nie posiadam nic, we mnie istnieje kolosalna suma niezaspokojonych potrzeb, mnie zawiodły najsłuszniejsze ambicye i nadzieje, mnie zdradziło w cudownie pięknem ciele mieszkające szatańskie serce kobiety, mnie, od szyi do pięt obsiadły pasorzyty długów — więc ja mam prawo gardzić tą ludzkością, tą cywilizacyą i tem życiem, które nie dały mi nic prócz złudzeń, zawodów i ochoty wczesnej śmierci.

„Bo zastanówmy się tylko, przez kogo i dla kogo wytworzona jest cywilizacya? Naturalnie przez ludzkość i dla ludzkości... Kimże ja jestem? Człowiekiem. Więc mam niezaprzeczenie prawo do udziału we wszystkich korzyściach i zyskach, przez ród mój zdobytych i nikt przekonać mię nie zdoła, aby sprawiedliwem było, że jakiś głupi lord angielski posiada pyszny pałac ze wspaniałym parkiem, a ja żyć muszę w paru pokojach tej psiej kamienicy, za które w dodatku komornego od dawna nie uiszczam. Dlaczego, jakiem prawem Rotszyld posiada miliony, Wiktor Hugo wszechświatową sławę, Bismark trzęsie światem jak workiem kartofli, słynny tenor tyle zbiera złota i laurów, że mu się przez garście przelewają, a ja, ja jestem biczowanym przez lichwiarzy golcem, przez jakąś setkę zaledwie osób z nazwiska znanym mizerakiem, samotnikiem zdradzonym przez tę olbrzymią lalkę, wszechstronnym bankrutem życia? Jeżeli takie źródła różnostronnych rozkoszy, jak bogactwo, sława, władza, miłość są wytworami cywilizacyi powszechnej, powinny też być własnością powszechną, zatem i moją, a skoro tak nie jest, drwię z cywilizacyi, która mnie wystrychnęła na dudka! Widzę, widzę szanowni doktorowie *Tem lepiej*, jak kiwacie głowami i wskazujące palce wznosząc w górę, mówicie: „to geniusze, kochanku, to są geniusze, różnostronne, nierówne) wartości, ale geniusze! Ty zaś..." Cóż ja? Naprzód nie jest wcale rzeczą dowiedzioną, że geniuszu nie posiadam. Owszem, nieraz czuję w sobie prawdziwie niepospolite porywy i natchnienia, które rozwinąć i w konkretną formę przyodziać się nie mogą tylko dla braku odpowiednich warunków. Już w dzieciństwie wyróżniałem się z pośród rówieśników płynnością i obfitością wymowy, a po głowie plątały mi się dziwnie oryginalne i malownicze obrazy i przenośnie. Byłbym niezawodnie wielkim mówcą, albo poetą, gdyby nie brak odpowiednich warunków. Urodziłem się z rodziców biednych jak szczury (jedyne szczęście, że nie z pospólstwa, lecz z podupadłych karmazynów pochodzących). Przez całą też młodość by-

Maszyna wywołała jeszcze inny skutek: „Przedstawiciel drobnego przemysłu łączył w swej osobie obie czynności, niezbędne w produkcyi: twórczą—głowy i wykonawczą — ręki. Stolarz stwarza naprzód stół w swym umyśle, zanim ręka wyrobi oddzielne części i złączy je razem w całość; włościanin kieruje w polu robotami, które sam wykonywa z rodziną, w czasie zaś żniwa przy pomocy sąsiadów; drobny rzemieślnik jest sam dyrektorem, nadzorcą, buchhalterem i jednocześnie własnym robotnikiem." Wielki przemysł maszynowy złączone uprzednio te dwie czynności w jednej osobie — rozdziela. Pod wpływem maszyny klasa robotnicza rozpada się na dwa odłamy: pracujących fizycznie i pracujących umysłowo; na dwa odłamy wspólną nicią istoty stosunku swego do kapitału połączone, a jednak odgrodzone od siebie przepaścią nienawiści i przesądów.

Dla czytelnika polskiego, który już nieraz miał sposobność pod adresem „proletaryatu inteligentnego" i „nadprodukcyi inteligencyi" wysłuchać ze strony naszej drobnomieszczańskiej prasy tyle banalnych, ba, głupio-płytkich zdań i niedołężnych rozumowań, wielce pouczającem będzie wyświetlenie Lafargue'a istotnej roli robotnika umysłowego w dzisiejszej produkcyi, jako też zagadki t. zw. jego „nadprodukcyi." Co do jego roli, to jej doniosłość jest tak wielką, jak stosowanie zdobyczy wiedzy, jak postępy techniki wytwórczej w wielkim przemyśle. Niezmiernie charakterystyczną jest geneza robotnika umysłowego. Lafargue w zobrazowaniu jej ograniczył się do przykładu z Francyi. Wiadomo, że hasłem współczesnej produkcyi jest dążenie do najniższych kosztów wytwarzania. W zakresie pracy fizycznej podboju tego dokonała właściwość techniczna maszyny. Ona to stworzyła najmicką armię odwodową, owo niewyczerpane a powolne źródło tanich rąk wyrobniczych. Najemnik inteligentny w zaraniu produkcyi maszynowej stanowił o tyle rzadką i drogą roślinę, o ile ona była pożyteczną. Musiano więc przystąpić do hodowli jej na szerszą skalę. „...Kapitaliści nie mogli w razie potrzeby wypisywać tak łatwo proletaryatu inteligentnego z zagranicy. Musieli go na własny rachunek wytwarzać na miejscu. Z pośród swych kapitalistów wybierali tych, którzy się odznaczali już zdolnościami, już pilnością, to znowu służalstwem i robili z nich majstrów i dozorców. Ludzi ze specyalnie naukowemi wiadomościami mogli wytworzyć tylko w ten sposób, że najzdolniejszych oddawali do zakładów naukowych." Tak radziła sobie wielka firma szkocko-angielska drukowanych płócienek Mac-Corquedale i S-ka, tak postępowali fabrykanci z Mülhausen. Lecz taka metoda nie zgadza się z zasadami gospodarstwa mieszczańskiego. Utrzymywanie robotnika od dziecka i kształcenie jego właściwem jest posiadaczowi niewolników, nie zaś kapitaliście, który eksploatuje wolną siłę roboczą. „Ideałem jego jest kupowanie siły roboczej według jej ścisłej wartości, a nawet niżej, za cenę odnowienia siły zużytej podczas pracy." Najemnik umysłowy odżywiał się jeszcze dobrze, mieszkał wygodnie, ubierał się elegancko, mógł zapewnić dostatek dzieciom i żonie. Żeby pracę umysłową zepchnąć na poziom fizycznej, potrzeba było podaż pierwszej zrównać z podażą drugiej, czyli przeludnić rynek najemników inteligentnych. „Zachęcono tedy — powiada Lafargue — filantropów, te dobroczynne dusze, do zakładania bezpłatnych szkół wieczorowych dla dorosłych. Lecz i ten środek nie pomógł. Przeto nic innego nie pozostało, jak żądać od państwa, aby samo fabrykowało inteligencyę, niezbędną dla tegoczesnego sposobu produkcyi." Z tego się wyjaśnia fakt, czemu mieszczaństwo wszystkich krajów tak gorliwie broni zasady bezpłatnego elementarnego nauczania, wygłaszając przytem „piękne zdania" o konieczności moralnego i ekonomicznego podźwignięcia robotnika. Rezultat tego był taki, że obecnie Paryż ma *sto* miejsc rocznie na każde 5,000 nauczycielek, które dostają dyplomy. Cel został osiągnięty: rynki robocze w Europie przepełnione są wykształconymi ludźmi, którzy nie wiedzą, czem życie utrzymać. „Wywóz inteligentnych sił roboczych stał się nową gałęzią wszechświatowego handlu; wywozi się je do Chin, Japonii, Polinezyi, Afryki, wszędzie, dokąd tylko wcisnęła się cywilizacya nowoczesna wraz z syfilisem i wódką."

Maszyna jednak jest nietylko czynnikiem rozkładowym: ona organizuje iześrodkowywa produkcyę narodową i wraz z centralizacyjną dążnością kapitalizmu prowadzi powoli do „międzynarodowej jedności rodu ludzkiego." Po za tem, na dalszym horyzoncie, wynurza się świetlana postać wytwórcy przyszłości. W drobnym przemyśle, a nawet w pierwszej fazie produkcyi kapitalistycznej osobiste kierownictwo przedsiębiorcy jeszcze miało znaczenie, ale obecnie zaszła głęboka pod tym względem zmiana. „W organizacyi technicznej przedsiębiorstwa niema już miejsca dla kapitalisty-właściciela. Tylko najmici są wytwórcami... Ten sam przemysł maszynowy, który pozbawił robotnika zręczności i zrobił go sługą maszyny, nadał kapitaliście rolę piątego koła u wozu." Istota towarzystw akcyjnych jest tu najlepszym przykładem. Upowszechnienie się maszyn po epoce rozkładu i upośledzenia zdolności robotnika ściele drogę do syntezy: przyczyniwszy się do upadku najmity, pozwoli przyszłemu wytwórcy zostać równomiernie i wszechstronnie rozwiniętym człowiekiem. Okrzyk *loi a la paresse*! z taką siłą i tak głębokiem uzasadnieniem na innem miejscu przez Lafarge'a i stojących po za nim powtarzany — znajdzie swoje urzeczywistnienie.

„Wytwórcy są dziś zrzeszeni nieświadomie, bez własnej woli. Gdy zaś środki wytwórcze staną się własnością ogółu, wytwórcze zaś organizacye zostaną uspołecznione, stowarzyszenia będą powstawały świadomie, aż utworzą tę armię przemysłową, którą proroczy duch Fouriera przeczuwał. Stowarzyszenie takie, być może, po 2—3 miesiącach służby przy kolei, przyjmie kilku agronomów i zajmie się rolnictwem, później zaś tkactwem, górnictwem... Stowarzyszenie wytwórcze będzie plantowało buraki w Niemczech, pełniło służbę przy kolei żelaznej we Fancyi, przepłynie ocean, żeby przez wiosnę i lato zajmować się produkcyą zboża w zatoce Hudsońskiej."

Zyg. Pietkiewicz.

BADANIA NAUKOWE.

DOBÓR WŚRÓD LUDZKOŚCI.

W jednym z miesięczników angielskich znany przyrodnik, Wallace, pomieścił rozprawę o doborze wśród ludzkości. Jest to praca ciekawa już z tego powodu, jak biolog pierwszorzędnego znaczenia zapatruje się na pewne kwestye społeczne. Następnie

---

łem szczurem, który marząc o holenderskim serze, ze złością gryzie stare podeszwy. Niech dyabli wezmą najzłośliwszy ze wszystkich traf urodzenia! Wiem dobrze, iż w dziejach nauki i sztuki znaleźć można sporo ludzi, którzy żywiąc się staremi podeszwami, dokonywali prac wielkich i tworzyli dzieła, czasem arcydzieła. Ale były to jakieś osobne, niepojęte dla mnie organizacye, były to nawet — śmiem twierdzić — pomimo wszystkiego, co uczyniły, odkryły, utworzyły, organizacye niższego rzędu. Bo ażeby módz żyć i pracować w tych ciasnych i szarych warunkach, które wytwarza ubóstwo, trzeba mieć duszę niewolniczą i niski poziom smaku. Dzieła i arcydzieła biedaków wydobyły się z nich nie wiedzieć jak, same przez się chyba, w zupełnie tajemniczy dla mnie sposób, ale dusze ich, do tego stopnia pokorne i ograniczone w żądaniach, ażeby bez swobody ruchów i piękności otoczenia módz aż tworzyć, poczytuję za niewątpliwie ubogie i ciasne. Mnie natura stworzyła wcale inaczej. Ja myślą, wyobraźnią, żądaniami zataczam niezmiernie rozległe koła i potrzebuję obracać się w tych kołach z zupełną swobodą ruchów i wyboru. Wszelka niemożność dosięgnięcia w rzeczywistości tego, o czem wiem, w sobie wyobrażam, czego pożądam, wprawia mię w gniew i zniecierpliwienie, które ubezwładniają najwyraźniejsze moje zdolności. Smak także posiadam tak wykwintny i wysubtelniony, że jeden gwóźdź wystający z podłogi lub najlżejsza dysharmonia linij, czy barw na ścianie, tak mię drażni, że zapał mój stygnie, a imaginacya ku ziemi opada. Wogóle jestem naturą subtelną, wytworną, która jak ptak powietrza lub ryba wody potrzebuje przedewszystkiem piękna, a następnie wrażeń, coraz nowych, coraz wznioślejszych lub namiętniejszych wrażeń. To nawet wszelkie wyobrażenie przechodzi, jakim ja jestem pożeraczem wrażeń, jak wiele ich trzeba i w jak wybornym gatunku być one muszą, aby moją myśl, uczucie, wyobraźnię rozgrzać i w ruch wprawić. Ilekroć przez czas nieco dłuższy obracam się w kole jednostajnych widoków, twarzy, wypadków, stygnę, zamieram, samemu sobie do kamienia staję się podobnym. Nie mam w sobie nic wcale z grzyba wrosłego w jedno miejsce, ani z psa, który przez całe życie u wrót jednego podwórka stróżuje. Łańcuchów przywiązania i wierności nie rozumiem, bom nigdy na sobie ich nie czuł i nie tęsknię do nich, bo wydają mi się niegodnemi natur ludzkich, nad zwykły poziom wyższych. Mnie trzeba, jak ptakowi, ciągłych wzlotów i przelotów. Skrzydłami memi muszą być coraz nowe, łagodnie rozmarzające lub namiętnie rozpalające wrażenia; kiedy zbliżanie się chłodów i mgieł uczuwam, potrzebuję przelatywać w inną stronę, tam, kędy znowu może mi być słonecznie i ciepło. Wiecznego słońca, wiecznie a harmonijnie grających wkoło mnie tonów i barw, wiecznych gromów i błyskawic mi potrzeba; ach, orlemi skrzydły lecieć mi potrzeba na niebotyczne szczyty, skrętami gadu wślizgiwać się w tajemnicze groty, bluszczem wyrastać z ciemnych szczelin skał, zwinnym rekinem pływać po morzach .. Wszędzie być, wszystkiem się poić, przed wszystkiemi pięknościami przyrody i sztuki na klęczki upadać i nigdy nie zetknąć się z tą lichą poziomością, którą jest troska o pieniądz, z tym więziennym strażnikiem, któremu imię: praca na chleb i z tą najwyższą szpetotą ziemską, którą przedstawia twarz wierzyciela.

Taką jest moja natura i właśnie dlatego, że jest taką, wierzę, iż zamieszkuje w niej przynajmniej zaczątek geniuszu. Kto mówi: geniusz, mówi: niepokój, burza, bunt przeciw gminnym szarzyznom życia. Jestem duszą niespokojną, burzliwą i zbuntowaną tak dalece, że pośrodku życia stojąc, pragnę kres mu położyć i byłbym to już od dość dawna uczynił, gdyby nie ta gorzka ironia, która we wszystkiem stworzeniu żyjącem istnieje pod postacią instynktu zachowawczego.

Traf, który sprowadza na świat człowieka pośród warunków i stosunków jak najmniej z naturą jego zgodnych — to raz; instynkt zachowawczy, który powstrzymuje go od dobrowolnego wytrącenia się z piekielnego koła tych warunków i stosunków, to dwa. Przywiązanie do wszelkiego życia

stanowi ona ważny przyczynek do rozwoju idej krytyczno-społecznych; kiedyś bowiem Wallace, wróciwszy z archipelagów malajskich, wystąpił z propagandą unarodowienia gruntów w Anglii i zastąpienia landlordyzmu przez gminy rolne; dzisiaj zaś daje już zapełnie za wygraną tym wzorom przeżyłym i staje na gruncie kraju-folwarku, jaki został skreślony w znanej powieści Bellamego. Właśnie w związku z przedstawionym w niej ustrojem społecznym rozpatruje kwestyę doborów. Wreszcie te jego wywody zasługują na uwagę jeszcze z innego względu. Teorya Darwina, którą poniekąd możnaby nazwać teoryą Wallace'a, została w chwili ukazania się zastosowaną natychmiast do społeczeństw ludzkich i to w pewnym szczególnym celu kazuistycznym. Wszak cały postępowy rozwój świata organicznego odbywał się w splocie wzajemnej walki pomiędzy istotami żyjącemi; w tej walce silniejsze i wogóle „lepsze" odnosiły zwycięztwo, tymczasem słabsze i gorsze ginęły, mówili „darwiniści społeczni" i w ciągu dalszym wysnuwali odpowiednie życzenia w zakresie społeczeństw ludzkich. Niech wre pomiędzy ludźmi wzajemne współzawodnictwo! Zapasy te usuną jednostki nieprzystosowane, pozostawią „godniejsze." Wszelkie poskramianie panowania pięści uważano za postępek jaknajszaleńszy. Prace publicystyczne H. Spencera dają przewybornе wyobrażenie o tem stanowisku. W gruncie rzeczy było to jedynie użycie wywodów biologicznych do obrony klasowego stanowiska warstw uprzywilejowanych i do uświęcenia wolnej konkurencyi jako najwyższego ideału społeczeństw. Lecz jak na to stosowanie teoryi do życia zapatrywali się sami Darwin i Wallace? Otóż ten ostatni przytacza rozmowę z Darwinem o tym przedmiocie, w której autor *Pochodzenia gatunków* stanowczo zaprzecza, aby w walce o byt, która toczy się w łonie nowoczesnej cywilizacyi, zwyciężał najlepszy. Jego zdaniem ci, którzy dochodzą do majątku i wybijają się na wierzch, bynajmniej nie są lepsi, ani zdolniejsi. Wallace również podziela to zdanie, a nadto zaznacza, że takiem jest przekonanie większości pisarzów, zabierających ostatnimi czasy głos w tej sprawie: Galtona, Grant Allena i in. Wszyscy oni jednako zaprzestali wierzyć w dobroczynne skutki antropologiczno tegoczesnej walki konkurencyjnej i szukają środków zastosowania doboru do ulepszenia rasy ludzkiej.

Wallace mocno powątpiewa o dodatnich skutkach antropologicznych wychowania i hygieny dla gatunku ludzkiego. Wykształcenie podnosi jednostkę na wyższy szczebel umysłowy i moralny, hygiena zapewnia jej siły fizyczne i zdrowie, lecz bynajmniej nie jest rzeczą dowiedzioną, aby te nabytki życia indywidualnego przekazywały się dziedzicznie na dalsze pokolenia. Póki dziedziczność właściwości nabytych nie zostanie udowodnioną, niepodobna twierdzić, aby one miały trwalsze znaczenie dla samego gatunku. Przeciwnie, mnóstwo faktów świadczy, że istnieje dążność odziedziczania po rodzicach tylko tych znamion fizycznych i duchowych, które były im już właściwe od urodzenia, i że jedynie szczęśliwe ich zestawienie rozstrzyga o dzielności antropologicznej potomka. Wallace uzmysłowia na przykładzie, w jakim stopniu można skorzystać z tych różnych wpływów, aby podnieść rasę na wyższy szczebel wartości organicznej. Przypuśćmy, powiada on, że dwie osoby chciałyby ze stada dzikich koni stepowych wyhodować z jednej strony zwykłe szkapy do przewożenia ciężarów, z drugiej — rasową stadninę i że pierwsza osoba ufa wyłącznie doborowi, druga zaś wierzy tylko w skutki pokarmu i obchodzenia się. Wtedy hodowca, który jedynie zaufał doborowi, rozdzieli stado na dwie części: w jedną zbierze konie powolniejsze i silniejsze, a do drugiej zaliczy osobniki rącze i zręczne. Każda grupa będzie się krzyżowała jedynie wewnątrz siebie, każde zaś pokolenie poddanem zostanie odpowiedniemu doborowi. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że po latach 30—40 hodowca otrzyma dwie bardzo odmienne rasy koni, każdą odpowiednią do swego przeznaczenia, pomimo to, że wszystkie osobniki otrzymały ten sam pokarm i pozostawały w tych samych warunkach. Dobór w tym razie był ową rószczką czarodziejską, która doprowadziła do założonego celu. Tymczasem druga osoba, która, nie ufając doborowi, zamierzyła osiągnąć cel za pomocą wpływów pokarmu, postępowała inaczej. Rozdzieliła stado na dwie grupy jednakie bez względu na właściwości fizyczne osobników, jedną zaprzęgła do wozów, drugą ćwiczyła jedynie w rączości, nadto poddawała każdej taki pokarm, o którym sądziła, że jest najstosowniejszy do wydania odpowiednich skutków. Podobnież i w dalszych pokoleniach nie uciekała się do pomocy doboru, lecz jedynie usiłowała kształcić w koniach bądź mięśnie sprzyjające rączości, bądź inne, wzmacniające siłę pociągową. Jakie będą rezultaty takiego postępowania i czy jednostki przekażą potomstwu nabyte mięśnie i własności? Wprawdzie nikt jeszcze nie stawiał sobie podobnego zadania i nie przedsiębrał takiego doświadczenia, lecz tylko dlatego, że zgóry wiedział, iż ono nie doprowadzi do pożądanego celu. Można z całą pewnością twierdzić, że kiedy po latach 30—40 pierwszy hodowca wytworzy z dzikiego stada zamierzone rasy końskie, drugi będzie tak daleko od tego, jak był na początku hodowli. Przykład ten, zaczerpnięty ze świata zwierzęcego, uwidocznia wyborne różnicę pomiędzy skutkami antropologicznymi odpowiednio przeprowadzonego doboru a oświaty i hygieny. To też gdyby można było znaleźć środki urzeczywistnienia pierwszego, ludzkość postępowałaby i doskonaliła się daleko prędzej, niż przy pomocy wszelkich ćwiczeń życia indywidualnego. Kwestya ta obudziła już zainteresowanie w świecie naukowym. Ukazało się mnóstwo projektów zwrócenia ludzkości na drogę postępu za pomocą doborów. Galton żąda, aby państwo wdało się w tę sprawę. Jednostki, zasłużone swojem zdrowiem, umysłem lub moralnością, żeniąc się pomiędzy sobą, otrzymywałyby stałą pomoc od władzy, która zapewniłaby im stałe utrzymanie i umożliwiła wydanie licznego potomstwa. Amerykanin Hiram Stanley stawia inne wymaganie. W rozprawie swojej o *Kwestyi małżeńskiej i cywilizacyi* ukazuje, że źródło upadku dotychczasowych cywilizacyj tkwiło w tem, że wraz z wzrostem bogactw i sztuki ustaje dobór płciowy, dzięki któremu dzielniejsze osobniki ukazywały się na świecie, oraz naturalny, pod wpływem którego zwyciężały one i wytrwały w walce o byt. Ponieważ niepodobna usunąć tych skutków bogactwa, należałoby chociaż sztucznymi środkami powstrzymać ujemne działanie cywilizacyi. „Opój, zbrodniarz, chory, słaby moralnie — nie powinni zjawiać się w społeczeństwie. Nie reforma, lecz środki zapobiegawcze niech się staną naszem hasłem! W owym złotym wieku, który leży nie w przeszłości, lecz przed nami, przywilej ojcowstwa będzie przyznany jedynie bardzo niewielu osobom.

---

tych dwóch właściwości poczytuję za najgrubszy i najnieprzyjemniejszy z żartów, które wyprawia z życiem siła nieznana, w nieznanych mu celach. Ślepym rodzący się gatunek jaszczurek nie prosił o przyjście na świat w podziemnych kanałach, ani o ślepotę dlatego ponoszoną, że tam mu na świat przyjść wypadło; gdyby zając tutejszy nie upodobniał się sierścią do kamienia, a sybirski do śniegu, prędzej kula myśliwca położyłaby kres jego nędznemu istnieniu. Dać zającowi w udziale wieczny głód i trwogę, a sierści jego taki instynkt zachowawczy, aby wyrabiał sobie barwę mylącą oko strzelca — jestże w tem cień sprawiedliwości? Kilka już razy wydobywałem z szuflady rewolwer, oglądałem go, nabijałem i zawsze nie wiedzieć jak i kiedy drżące moje ręce ukrywały napowrót w ciemnościach szuflady tę małą, cienką rurkę, przez którą życie moje ulecieć miało — nie wiem dokąd — może w płatki róży, kwitnącej pod oknem pięknej kobiety, albo w pierś rumaka przelatującego stepy, w pióra orle lub w uszy ośle — wszędzie po trochu. Ta rozsypka po świecie moich atomów nabawia je trwogą i wstrętem, opierając się jej, czyniąc ze mnie na pozór tchórza. Ale to tylko pozór. To tylko atomy moje nie chcą rozlatywać się w różne strony i wchodzić do nowych, niewiadomych związków. Ja zaś, który jestem ich świadomością i samopoznaniem, pragnę umrzeć i dziś... jutro... Tymczasem zajmuję mię jeszcze zastanowienie się nad głupotą i niesprawiedliwością tego wszystkiego, co w języku ludzkim nazywa się światem, życiem, losem...

Ten pokój naprzykład, po którym teraz biegam, jak w menażeryach biegają po swoich klatkach hyeny i tygrysy, cóż w nim osobliwego? Kobierzec, który posadzkę jego okrywa, jestże perskim, tureckim, babilońskim? Gdzie tam, pochodzi z fabryki krajowej i tani jego gatunek trochę tylko wynagradza się znośnem skopiowaniem wschodnich barw i wzorów. Sprzęty są miękie i dość zgrabne, ale tandetnej roboty, wcale nie stylowe, a okrywający je plusz dość okazale wygląda, bo czerwony, zaś po przypatrzeniu się — Boże odpuść! nie wiem nawet, czy bardzo smakowałby molom, taki lichy. Te lampy i świeczniki — cóż? japońskie? rzymskie? *Louis XIV? Empire?* At! styl ich ma tyle wartości, co i pozłotal Świecąca fuszerka! A na ścianach co ja mam takiego? Rubensy? Van Dycki? Greuzy? Meissoniery? Cha, cha, cha! Oleodruki, *tout simplement*, oleodruki, dość drogie wprawdzie i w bardzo błyszczących ramach, ale które wobec dzieł sztuki, wobec prawdziwego artyzmu, czemże są? Po prostu śmieciem. Zdaje się, że dla człowieka ucywilizowanego, dla człowieka z ukształconym smakiem, dla człowieka bądź co bądź dobrze urodzonego, trudno wymyślić coś bardziej skromnego i mizernego, że nawet takiemu człowiekowi, w takiem otoczeniu trudno wyżyć. Jednak, kiedy rozpoczynając zawód swój, mieszkanie to urządziłem, wielu było takich, którzy nazywali je zbytkownem. Z tego powodu zerwał się nawet jeden z najdawniejszych moich stosunków. Kolega Zygmunt, ten tak szlachetny z pozoru chłopak, gdy tylko dowiedział się że na stałe już gdzieś zamieszkałem, wpadł do mnie i nagle jak słup stanął.

— Czy to twojo mieszkanie? — pyta.

Z paru doświadczeń przewidywałem już, co nastąpi.

— A no, moje — mówię. Czegóż się tak dziwisz?

— Czy sukcesyę jaką otrzymałeś?

— Żeby tak pies płakał, jak ja kiedy jakąkolwiek sukcesyę otrzymam, z gołych szczurów zrodzony...

Popatrzył na mnie.

— Za pożyczone pieniądze?

— A no...

Spochmurniał, siadł na tej otomanie i zerwał się zaraz.

— Ja w tych kołyskach siedzieć nie umiem! Myślałem, że w przepaść lecę. Nie masz ludzkiego stołka?

(D. c. n.)

Wtedy nie przyjdzie na świat ani jedno dziecko, które nietylko nie będzie silne fizycznie i umysłowo, lecz również nie będzie stało powyżej przeciętnego poziomu swoją przyrodzoną zręcznością i siłą moralną... Najważniejsza sprawa społeczna, a niewątpliwie jest nią dziedziczna dzielność współobywateli, będzie regulowana przez powołanych specyalistów.“ Natomiast Grant Allen chciałby usunąć wszelkie przeszkody, powstrzymujące swobodną miłość. Małżeństwo niech trwa dopóty, póki obie strony życzą sobie tego. Dziewczę powinno być wychowywane w tem przekonaniu, że najpierwszym obowiązkiem, który cięży na niem, jest wydanie na świat zdrowego i inteligentnego dziecka; to też każda kobieta winna wybrać za czasowego swego małżonka mężczyznę, który najbardziej ręczy za taką dzielność potomstwa.

Wallace zauważa, że środki, podawane przez Galtona, bezwarunkowo sprzyjają wzrostowi liczby osobników bardzo uzdolnionych, lecz jednocześnie nie wywierają żadnego wpływu na ogół społeczny. Jest to nie posuwanie po drodze postępowej całego społeczeństwa, lecz jedynie i wyłącznie hodowla wyjątkowych rasowców ludzkich. Tymczasem należy dbać nie o nadanie synekury społecznej szczególnym arystokratom ducha, lecz o usunięcie ze społeczeństwa typów najniższej wartości antropologicznej i pozostawienie reszcie możności dowolnego łączenia się. Co do projektów Hirama Stanleya zaznacza, że opierają się one na przymusie z góry, tymczasem tego rodzaju sprawy muszą być rozwiązywane tylko na drodze swobodnego wyładowania się uczuć i dążeń osobniczych. Wreszcie o Grant Allenie Wallace nie chce nawet mówić, uważając bowiem rodzinę monogamiczną a nierozwiązalną za najwyższe ogniwo w rozwoju stosunków małżeńskich, ideały wspomnianego uczonego odrzuca nawet bez zastanawiania się nad nimi. Atoli za tymi poszczególnymi zarzutami Wallace wykazuje jedną słabą stronę, wspólną wszystkim wspomnianym pisarzom. Mianowicie mówiąc o zaprowadzeniu doboru wśród ludzkości wszyscy oni obracają się jednako w widnokręgach społeczeństwa teraźniejszego. Dzisiejszy stan rzeczy jest dla nich jedynie czemś niezupełnie doskonałem, gdy tymczasem należałoby go uważać za zły i fatalny w najwyższym stopniu. Jakim sposobem — pyta Wallace — mężczyzna i kobieta mogą regulować swoje stosunki wzajemne z możliwie wielkim pożytkiem dla rasy w społeczeństwie, w którem olbrzymia większość kobiet musi siedzieć przy wyczerpującej pracy niemal bez odpoczynku, reszta zaś wstępuje w związki małżeńskie tylko po to, aby zapewnić sobie jakiś taki cień dobrobytu; w którem wreszcie istnieje taka otchłań społeczna pomiędy nielicznymi milionerami, a całymi tłumami, nie spożywającymi stale niezbędnej ilości pokarmów? Biolog angielski, wychodząc z tego punktu widzenia, uważa że pierwszym krokiem w kierunku umożliwienia doboru pomiędzy ludźmi powinno być powołanie do życia takich warunków społecznych, przy których mężczyźni i kobiety mogliby w wyborze słuchać jedynie wzajemnej sympatyi, próżnujący i występny zbytek oraz nadmierna praca o głodzie byłyby usunięto, każdy posiadałby dostęp do całej wiedzy swojego czasu, a opinią publiczną rządziłyby istotnie godni tego. Otóż w marzeniach Bellamego (a raczej Gronlunda — *suum cuique*!) znajduje on odpowiadający tym wymaganiom porządek społeczny. Wprawdzie zastrzega się, iż jest to ustrój bardzo dalekiej przyszłości jednakże przyjmuje zasadnicze jego rysy, jako coś wysoce pożądanego i idealnego.

Ale — zastanawia się Wallace — czy nienależałoby stosownie do proroctw Malthusa lękać się przeludnienia (i zatem ogólnej nędzy) w takiem idealnem społeczeństwie i jakie będą skutki ustroju społecznego w zakresie doboru? Co do punktu pierwszego, sądzi on, że wszelkie obawy przeludnienia są najzupełniej płonne. Wprawdzie wojny, głód i mór przestaną dziesiątkować ludzkość, lecz natomiast, wobec obowiązkowej nauki dla wszystkich do 21 roku życia, oraz chęci u bardzo wielu do nabycia jej więcej, małżeństwa byłyby zawierane daleko później, być może w wieku lat 25, a nawet 30, zwłaszcza ze strony kobiety. Lecz odsunięcie małżeństwa, tak znaczne w porównaniu z wiekiem, w którym dzisiejsze warstwy pracujące wstępują w związki, nie tylko zwolni szybkość następowania jednych pokoleń po drugich, lecz jednocześnie osłabi płodność rodziców. Galton np. wyrachował, że przeciętna płodność kobiet, poślubianych w 20 roku życia, tak się ma do płodności, wychodzących za mąż w 29, jak 8 do 5. Wreszcie należy wziąć pod uwagę i to, że obrócenie znacznej ilości wysiłku nerwowego w kierunku zajęć umysłowych musi odbić się na zdolności rozpłodczej człowieka. Słowem Wallace nie sądzi, aby idealny ustrój Bellamego miał się obawiać przeludnienia i nędzy.

Załatwiwszy się z tem pytaniem, badacz angielski przechodzi do kwestyi doboru. W tej mierze usiłuje on dowieść, że kobieta stanie się główną sprężyną ulepszania rodu ludzkiego, i to dzięki temu, że stosunki społeczne wywołają silne współubieganie się mężczyzn o zdobycie żony. Mianowicie naprzód wypada uwzględnić ten fakt, że pomiędzy kobietami znajduje się wiele takich, które albo zgoła nie wstępowałyby w związki małżeńskie lub uczyniłyby to nader późno, gdyby chęć zabezpieczenia sobie utrzymania nie przynaglała je dzisiaj do zamążpójścia. W ustroju *Wieku XXI* ta pobudka ustaje, i kobieta długo będzie wybierała, zanim wola jej spocznie ostatecznie na kimś — brak zaś podniet materyalnych i wysoki stopień wykształcenia każą jej wybrać możliwie najgodniejszego. Z drugiej strony, chłopców dzisiaj rodzi się więcej niż dziewcząt, a jeśli stosunek ten zostaje później wyrównany, zawdzięczać to należy wojnom i militaryzmom, emigracyi, ciężkiej pracy i innym przyczynom, które w przyszłości przestaną działać. Ta okoliczność zwiększy jeszcze bardziej współubieganie się mężczyzn i powolny wybór najgodniejszego ze strony kobiety. Ponieważ kobiety będą w mniejszości (już to faktycznej, już to ze względu na słabszą pobudliwość płciową), dobór może przybrać nader silne rozmiary. „Lepsi“ mężczyźni zawsze będą posiadali więcej szans wczesnego ożenku i tem samem pozostawią liczniejsze potomstwa, podczas gdy „najgorsi“ pozostaną w stanie kawalerskim... Jedynym warunkiem tego doboru będzie kształcenie w młodych pokoleniach kobiecych zamiłowania do wszystkiego, co piękne wzniosłe a szlachetne.

Słowem, według Wallace'a, należy przedewszystkiem powołać do życia normalniejszy ustrój społeczny i wychowywać ludzi w ideałach wzniosłych, a kobiety same będą usuwały systematycznie z rasy wszystkich charłaków antropologicznych.

Zatrzymaliśmy się nad pracą wybitnego biologa wprost dlatego, że stanowi ona nader charakterystyczną oznakę czasu. Ogłoszoną została w *Fortnightly Review* i przedrukowaną przez jeden z najpoważniejszych miesięczników Ameryki (*Popular Science*), mimo że autor otwarcie przyznaje się do ideałów w rodzaju *Wieku XXI*. Czy coś podobnego było możliwem jeszcze przed dziesięciu laty?

K. R. Zywicki.

ZATARGI KIERUNKÓW SKRAJNYCH
w publicystyce ostatniej ćwierci wieku.*)

I.

Publicystyka peryodyczna gorliwie popierała nowy ruch umysłowy. — Zasługi *Zabaw przyjemnych i pożytecznych, Monitora i Wiadomości warszawskich.* Czasopisma te, należące do okresu godzenia pewników naukowych z wymaganiami religii, występują przeciwko wolnomyślności.— Zachowawczości przywodzi *Gazeta warszawska* Łuskiny. — Kierunek wolnomyślny ogniskuje się w wydawnictwach Świtkowskiego, oraz w *Gazecie narodowej i obcej.* — Ataki na prasę wolnomyślną Wyrwicza i Łuskiny. — Tragedya *Saul*, pisma Stanisława Potockiego i Rabaut'a, przeciwko którym z obelgami występuje ks. Surowiecki.

W ostatniej ćwierci wieku natężenie kierunku wolnomyślnego dochodzi do szczytu. Największa w tej dobie ukazuje się liczba przekładów z nieprawowiernych autorów francuskich, ogarnia Rzeczpospolitę mnogość lóż wolnomularskich, przeprowadzoną została sekularyzacya szkoły, zdyskredytowana powaga kleru. Najwybitniejsze dzieła pisarzów rodzimych, noszące na sobie piętno wieku, w tym właśnie wychodzą czasie: Naruszewicza *Historya narodu polskiego* (1780 — 86), Krasickiego *Monachomachia* (1778), Węgierskiego *Organy* (1784), Staszyca *Uwagi nad życiem Jana Zamojskiego* (1785) i *Przestrogi dla Polski* (1790). Kierunek wolnomyślny znachodzi pionierów równych pod względem energii i konsekwencyi w działaniu tym, którzy, jak Konarski, Wiśniewski, Sliwicki, zabiegali niegdy około uprawy filozofii *recentiorum.* Jąwszy się publicystyki, jako najdzielniejszego środka oddziaływania na szersze koła społeczne, chwytali najnowsze objawy myśli europejskiej, by zaszczepiać je w masach.

Publicystyka peryodyczna, nie wyjmując kalendarzy, dość gorliwie służyła zasadniczym prądom umysłowym, jakie w stuleciu XVIII-tem przenikały szkołę i piśmiennictwo. Podczas walki o nową filozofię żadne z czasopism, zarówno wydawane przez Mitzlera de Rolof i Krystyana Bogumiła Friesego w językach obcych (*Warschauer Bibliothek* 1753—55, *Acta litteraria* 1755—56, *Journal litteraire de Pologne* 1754), jak polskie: *Nowe wiadomości ekonomiczne* (1758—61), *Wiadomości literackie* (1760—63), *Zbiór różnego rodzaju wiadomości* (1770), podczas efemerycznego istnienia swego nie uchylało się od popierania zdobyczy naukowych zachodu. Najżarliwiej przecież służyły nowej filozofii wychodzące dłużej: *Zabawy przyjemne i pożyteczne* (1770 — 1777), *Monitor* (1765 — 1784) i *Wiadomości warszawskie*, przekształcone w r. 1774 na *Gazetę warszawską.*

Zabawy przyjemne i pożyteczne, organ uczestników obiadów czwartkowych, święciły upadek „gotyckiej dzikości,“ gorąco adorowały uczonych nowoczesnych i postęp. „Tak to — pisały — Tassa, Kopernika, Galileusza imię niesprawiedliwie, póki żyli, zelżone, w wiekach tych naszych powinnej sławy hołd odbiera; pamiątce ich oddajemy, co niesprawiedliwie osobom odmówiono. Kwiaty na ich mogiły rzucamy, którymi żyjących skronie uwieńczyć zazdrość lub nienawiść nie dozwoliła [1]). „Nieśmiertelny Newton — głosił Mniszech w rozprawce o geniuszu — twą pomocą wsparty, ośmielił się rachunkiem wyśledzić tor i postępowanie skrzywionych linij: pierwszy wynalazł, pierwszy użył korzyści pryzmatów. Ty, geniuszu, władałeś ręką Kopernika, gdy miejsce słońca wyznaczał i planet bieg

---

*) Jest to jeden z rozdziałów obszerniejszej pracy autora, która wkrótce wyjdzie z druku p. t. *Przełom umysłowy w Polsce XVIII w.* (*Red.*)

[1]) Albertrandi w art. „O początku i skutkach żądzy... podanie imienia swego potomności (T. I, część I, str. 159).

mierzył“ [1])... Dowodziły potrzeby dociekań filozoficznych, wielbiły Kartezyusza [2]). W artykule „Astrologiczne przepowiadanie kalendarzom na sto lat następujących służące o znakach chronologicznych (1776)“ szydziły z prognostykostwa, w „Historyi naturalnej Świszcza“ (1775) z łatwowierności dziecinnej przodków. „Trudno nieraz wstrzymać się od śmiechu, kiedy w historyi naturalnej zwierząt u dawnych autorów niezliczone czytujemy bajki, które tak są śmieszne, jakoby z umysłu dla zabawki małych dzieci wymyślone były. Lwice np., według powieści lekkowiernych przodków naszych, króle zwierząt martwym tylko obdarzają płodem, którego on dopiero wspaniałym swoim ożywia rykiem. Pelikan młodym swoim krwią własną, z ranionej piersi wycedzoną, którą je pokrapia, życie dawa; a któż nie wie o cudownej historyi Gryfa, o którym starodawni wierszopisarze bają, że gniazdo swoje z szczerego robi złota?.“ Z okazyi rozprawy Russa o wpływie nauk na upadek obyczajów stawały w obronie umiejętności [3]), chociaż w materyi postępów jej dawały niekiedy folgę refleksyom pesymistycznym [4]). Dalekie jednak były od nieprawowierności, do przekładów z Woltera, Russa i Monteskiusza dobierały utwory, które niczem nie obrażały religii. Owszem, obronie jej niemało poświęcały uwagi. Podały z Fenelona „Dowody jawne o jestności Boga“ (1772), ks. Borowski pisał o nieśmiertelności duszy, gromiąc „nieprzyjaciela“ jej, Locke'a. Bieńkowski w artykule o deistach kwestyonował „obyczaje i poczciwość“ ludzi wolnomyślnych. Upadły *Zabawy*, głosząc potrzebę zachowania ostrożności w przyjmowaniu poglądów myślicieli zachodnich.

Monitor w popieraniu filozofii *recentiorum* energię rozwinął wielką: nikt dotkliwiej od niego nie szydził z perypatetyków, nie atakował śmielej przesądów; pomimo tego, podobnie jak *Zabawy przyjemne i pożyteczne*, nie poszedł za prądem wolnomyślności, do końca istnienia wierny był stanowisku kościelnemu. Zmiany redaktorów psuły jednolitość kierunku pisma, metoda traktowania kwestyj zasadniczych zdradzała nadmierną w wypowiadaniu zapatrywań oględność. W kwestyach drażliwych miał zwyczaj podawania artykułów *pro et contra*, rzadko oświadczając się za wolnomyślniejszym. Na anti-biblijne argumentacye bezimiennego w materyi genezy ludzkości, — „mnie się zdaje — odpowiedział *Monitor* (1770, Nr. 3), że mój korespondent przez czytanie tych książek francuskich, w których za punkt honoru wzięto sobie atakować religię, poczyna wątpić o tej świętej prawdzie, że wszyscy pochodzimy od Adama.“ W jednym i tym samym numerze (1777, Nr. 36) Obmownicki strofuje księży za zdzierstwa i zbytki, Świętorzecki broni ich i zmusza napastnika do odwołania zarzutów. Albertrandi w rozkwicie wiedzy i wynalazków znajdował źródło utrapień ludzkich, na co mu ex-jezuita, Kniaziewicz, odpowiadał: „nieuków, nie zaś uczonych jest dziełem owa nieszczęśliwość, którą umiejętnościom WMPan i p. Rosso przypisujecie“ (1769, Nr. 54). Bezimienny, zaatakowawszy celibat duchowieństwa, obiecał resztę argumentacyi przedstawić w numerze następnym — tymczasem, nietylko, że mu nie pozwolono dokończyć, ale nawet po upływie paru tygodni udzielono naganę (1782, NN. 9, 12). Niejednokrotnie wypowiadał pogardę dla astrologii i przesądów, sam jednak drukował bałamutne „Obserwacye o latach klimaktorycznych“ (1778, NN. 27—29), probował nawet traktatu o ukazywaniu się duchów! Nie wierzył w potęgę rozumu, nieuiluminowanej światłem religii. „Przepędziłem młode lata na czytaniu i rozmyślaniu... Cóżem się nauczył? W historyi znalazłem niepewność samą. W fizyce albo wymysły głów zapalonych, albo ciemności nieprzejrzane. W moralnej nauce lub prawdy wszystkim wiadome lub zawiłość nierozwiązaną. Metafizyka albo za słowy się upędza do utraty sensu, albo za subtelnością do utraty rozumu. Po trzydziestu latach nauk darmo mnie spytasz, czemu kamień spada? Jak ja ruszam ręką? Skąd mam moje myślenia i czucia? Bez światła nad rozum wyższego, które jedno nieświadomość naszą może cieszyć, żadnaby księga mnie nie nauczyła, co jestem“ (1779, N. 7). Kruszył kopie przeciwko ateuszom i deistom, bez końca szydził nad upadkiem religijności. Strofował ojców, że przez powierzanie dzieci cudzoziemcom-niekatolikom narażają je na jad kacerstwa (1776, N. 82); proponował uchwalenie konstytucyi, któraby wzbraniała wojażów zagranicznych bez potrzeby istotnej (1778, N. 26). Mały w argumentacyi i chwiejny, w dobie ścierania się prądów krańcowych stracił racyę bytu i upadł.

Redagowane przez ks. Franciszka Bohomolca *Wiadomości warszawskie*, poświęcone sprawom bieżącym i polityce, mniej miały pola do wyrażania poglądów filozoficznych; pomimo tego przygodnie folgowały im nieraz. Cieszyły się z postępów fizyki doświadczalnej i astronomii, zdawały sprawę z doświadczeń i obserwacyi, czynionych w stolicy i na prowincyi; zażegnywały trwogę podczas ukazywania się komet, zorzy północnej, zaćmień itp. Sarkały od czasu do czasu na Woltera, Russa, Marmontela lub Raynala, o których dość szczegółowo z gazet zagranicznych dawały relacye. Powstała z nich *Gazeta warszawska* była organem skrajnie zachowawczym, do czego przyczynił się fakt kasaty jezuitów. Redaktor jej, Stefan Łuskina (1725+1793), ostatni rektor warszawskiego kolegium jezuickiego, człowiek nie bez zasług w krzewieniu fizyki doświadczalnej i astronomii — upatrując w kasacie zakonu cios dla religii, moralności i nauki, wypowiedział walkę kierunkowi wolnomyślnemu. Zabiegał z ostatnim rektorem jezuickiego kolegium nobilium warszawskiego, Wyrwiczem, iżby Rzeczpospolita, nie zważając na bullę papieską, utrzymała zakon i nadal; stawał w obronie rebelizujących braci na Białej Rusi i w Prusach.

W każdym niemal numerze gazety przy lada okazyi przypominał zasługi zakonu i wyrządzoną mu krzywdę, sarkał na sprawców upadku i wrogów. Wspominając o Klemensie XIV, zawsze wytykał mu habit franciszkański, jakby chciał przez to utrwalić w czytelniku mniemanie, że kasata była wynikiem rywalizacyi zakonnej. Złorzeczył autorom, którzy pisali przeciwko jezuitom, szczególniejszą miał predylekcyę do znęcania się nad margrabią Pombalem. Początkowe kłopoty rządzących, wywołane przez kasatę, podnosił Łuskina z tryumfem. „Skasowanie — pisał — tyle razem chorągwi trudniejszo, niżeli się na początku zdawało; dłuższych i dostalszych rad potrzebuje; przeto ułożenie na miejsce starych od dwóch i dalej wieków żołnierzy nowych (daj Boże pożyteczniejszych i profitowniejszych jak nam obiecują) rekrutów na dalszy jeszcze czas odłożone być musiało.“ Z okazyi trudności w obmyśleniu na razie funduszu na utrzymanie ex-jezuitów wołał: „Większa jest rzecz gmach jaki, gwałtownem trzęsieniem ziemi z fundamentów do szczątku wzruszony i walący się aby na jeden moment utrzymać, aniżeli go chociażby największym nakładem z gruntu przez lat nie wiem wiele budować.“ Nawet koń z byłego folwarku jezuickiego zabłąkany w mieście, daje Łuskinie asumpt do refleksyi: „rozumiał podobno, że po skasowaniu dawnych owego miejsca rządców wolno już mu co chcąc czynić i po całej Warszawie dzień i noc samopas biegać.“ Z powodu grabieży, dokonywanej w Rzeczpospolitej na majątkach pojezuickich przez biskupów i świeckich, nie szczędził w gazecie przycinków nuncyuszowi i wyższemu duchowieństwu rzymskiemu. Z opowieści o prałatach z nad Tybru, rzucających się na bogactwa zakonu, wyprowadzał wniosek, że raczej chwalić, niż ganić wypada tych w Rzeczpospolitej, którzy idą za przykładem z góry. Do artykułów, tłómaczonych z gazet zagranicznych, o ile były w związku z kasatą zakonu, dodawał komentarze, złośliwie dotykające kuryę. Jezuici byli dla niego wcieleniem cnót, gorejącą pochodnią prawdy. Dla uświetnienia swego zakonu podnosił projekt kanonizacyi wygnanego z Hiszpanii braciszka jezuickiego, Maryana Rodriguez, wydrukował *elogium* jego po łacinie i po polsku i do gazety dołączył *gratis*. „Fest“ św. Ignacego Lojoli w kościele pojezuickim, popis szkolny w konwikcie nowo-miejskim — wszystko Łuskina na honor zakonu, a ku hańbie nieprzyjaciół jego umiał obrócić. W przyszłość zakonu wierzył. Wspominając o Riccim, jako ostatnim generale, do wyrazu „ostatni“ dodawał „tą razą.“ O wskrzeszeniu jezuitów, czyli — jak się wyrażał — powrocie koła na gałkę watykańską, rozwodził się w artykułach polemicznych nie bez dowcipu [1]).

(D. c. n.).

W. Smoleński.

[1]) Smoleński. Żywioły zachowawcze i komisya edukacyjna (*Ateneum* z r. 1889, t. I, str. 425, 428).

LITERATURA I SZTUKA.

SUGGESTYA A POEZYA.

W rzędzie kwestyj, które powstały z chwilą naukowego stwierdzenia stanów hypnotycznych i suggestyi (poddawania myślowego), wielką doniosłość praktyczną posiada zagadnienie, czy za czyny spełnione w stanie podobnym, osobę, ulegającą obcej woli, należy pociągnąć do odpowiedzialności. Najbardziej zajęło się tą kwestyą powieściopisarstwo angielskie i francuskie, zwłaszcza autorowie naturalistyczni wytworzyli już całą literaturę suggestyi. K. E. Francos, który po licznych przejściach, zszedłszy ze szczytu rozgłosu, wydaje dziś czasopismo *Deutsche Dichtung*, wpadł na pomysł, za który nakładca powinien mu być nie mniej wdzięczny, aniżeli czytelnicy: zwrócił się do najwybitniejszych fizyologów, neuro-patologów i psychiatrów niemieckich z prośbą o wypowiedzenie zdań o suggestyi i stosowaniu jej w poezyi. W listopadowym i grudniowym zeszycie tego czasopisma znajdujemy tedy listy sześciu znanych uczonych, odzwierciedlające stosunek nauki do sprawy, która tyle umysłów w gorączce dziś utrzymuje. Dawniej — twierdzi Francos w swej odezwie — istniały dla poetów dwa poglądy zasadniczo różne. przypuszczano, że wola nasza jest całkowicie wolną, że człowiek za każdy czyn jest odpowiedzialnym, lub przyjmowano fatum, kierujące każdym krokiem człowieka. Dziś niema poety myślącego, któryby zajmował jedno z tych stanowisk; poznano czynniki ograniczające swobodę woli: własności odziedziczone, wpływ rasy, klimatu, wychowania, przyzwyczajenia, doświadczeń. Zawsze jednak przypisywano jeszcze człowiekowi znaczny zasób siły woli; obecnie zaś głosi nauka, a za nią poezya, że człowiek normalny i zdrowy może postradać nagle tę władzę, być zmuszonym do spełniania życzeń i rozkazów innego człowieka, który mu pewne czyny podpowiada. Póki mniemano, że do podobnego ubezwła-

[1]) W art. „Myśli o geniuszu“ (t. IX, część I, str. 280).

[2]) Art. „Na czem się zasadza duch filozoficzny“ (t. VI, część II).

[3]) „O pożytku nauk i umiejętności, mowa przeciw mowie Jana Jakóba Rousseau (t. I, część 2, str. 235).

[4]) Albertrandi w art. „O postępach nauk“ (t. II, część 2, str. 252).

dnienia moralnego niezbędną jest hipnoza, a zatem stan niezwykły, widoczny dla innych, mniej obawiano się takiego wpływu; lecz suggestya bez hipnozy, to proces, który może być nadużyty w sposób niebezpieczny dla społeczeństwa *). Francos przytacza parę wypadków, wziętych po części z gazet, po części z literatury powieściowej. Młody malarz zyskuje mecenasów w osobach pewnego milionera i jego żony. Para ta zaprasza artystę do swej willi we Florencyi, gdzie poznaje on malarkę, którą postanawia poślubić. Lecz nagle mroczy mu się umysł, pragnie posiąść miliony swego protektora i założyć olbrzymi instytut dla sztuki. Podczas nieobecności bogacza młody artysta nakłonił zacną jego żonę, aby została jego metresą i uciekła z nim do Rzymu. Mąż goni zbiegów, oboje dostają się do domu obłąkanych. Żona twierdzi, że nie przypomina sobie wcale, co zaszło i ze smutkiem zgadza się na rozwód, twierdząc, że kocha męża. Zostawszy jednak panią swego majątku, przeznacza go na założenie instytutu dla sztuki... Wobec szerokości wpływu beletrystyki, twierdzi Francos, zachodzi obawa, że publiczność poweźmie przesadne wyobrażenie o niebezpieczeństwie suggestyi i trapić się nią będzie bardziej jeszcze, aniżeli teoryą dziedziczności. Niechajże więc ludzie najbardziej powołani orzekną, czy suggestya w podobnych rozmiarach odbywać się może i czy wypadki takie są wyjątkowymi, czy spotkać można w życiu codziennem, skoro się raz nauczono je rozpoznawać?

Wyniki tego naukowego śledztwa Francosa są wcale zajmujące.

Oto co odpowiada Du Bois-Reymond, słynny fizyolog wszechnicy berlińskiej. Nie wierzy on w fizyczny wpływ człowieka na drugiego. Całe działanie polega jedynie na wyobrażeniach osobnika hypnotyzowanego lub poddanego suggestyi. Jeżeli w wypadkach tych zachodzi mus, jest on rodzajem waryactwa. Dar hypnotyzowania polegać może tylko na poznawaniu stosownych mediów o słabej woli i na sztuce imponowania im. W zmiany fizyczne, uskutecznione drogą suggestyi, Du Bois-Reymond nie wierzy. Ulegały jej przeważnie kobiety. Słusznie zaś twierdził stary Stoll: „Mulieri ne mortuae quidem credendum est" (nie wierz kobiecie, nawet umarłej).

Podobnie odzywa się drugi nestor nauki niemieckiej, słynny fizyk Helmholtz. Lecz przyznaje on przynajmniej, że należy do starej szkoły i że nie zajmował się nigdy studyami hypnotycznemi. Nie ufa im, gdyż zna łatwowierność dziewiętnastego stulecia w kwestyi cudów. Za czasów jego młodości wierzono w magnetyzm zwierzęcy, po którym nastąpił cały szereg podobnych „zabobonów." Spirytyzm stawia Helmholtz w jednym rzędzie z kuglarstwem. Stosowanie podobnych działań mistycznych w poezyi nie zajmuje go. W życiu i w poezyi interesowały go tylko umysły poczytalne.

Lecz posłuchajmy teraz naukowych zwolenników suggestyi.

Albert Eulenburg, profesor patologii na wszechnicy berlińskiej, wierzy najsilniej, że hypnotyzujący lub suggestinjący wśród sprzyjających warunków pozyskać może wpływ nieograniczony na życie duchowe podlegającej mu osoby. Wpływ ten nietylko usuwa objawy pewnych chorób, chwilowo lub stale, lecz też wykształca i przemienia skłonności wrodzone. Często już w drodze posthipnotycznej leczono skutecznie pijaństwo. Tem samem uważać należy za rzecz dowiedzioną, że rozkazać można człowiekowi w hipnozie czyn zbrodniczy, lecz na szczęście od możności tej aż do praktycznego niebezpieczeństwa długa jeszcze droga. Wszystkie bowiem zbrodnie, które muszą być zgóry obmyślane, o tyle są powikłane, wymagają tak zręcznego zastosowania się do okoliczności, że trudno, aby rozkaz hypnotyzera, odnoszący się do pewnego tylko układu stosunków, skutecznie mógł działać.

Istotę hypnozy i suggestyi tłomaczy Eulenburg w sposób następujący. Nie są to bynajmniej odosobnione i osobliwsze stany psychiczne, lecz należą do rzędu znanych procesów wpływania jednego osobnika na drugi, jak rozkaz, groźba, przekonywanie lub prośba. Nie potrzeba bynajmniej osobnej jakiejś siły, którą chełpili się dawniej magnetyzerowie, aby zahypnotyzować kogoś: potrafi to mniej więcej każdy człowiek zręczny, obeznany z tą sprawą. Skoro fakt ten znany będzie powszechnie, skoro zniknie mistyczny urok hipnozy, wówczas upadnie też gorączkowe zajęcie publiczności dla tych zjawisk, a i wrażliwość indywidualna dla wpływów hypnotycznych. Beletrystyka na razie szkodzi normalnemu rozwojowi i skutecznemu stosowaniu umiejętnej hipnozy. Eulenburg sam leczył nią pewną panię, która po przeczytaniu powieści Samarowa *Unter fremdem Willen* (Pod obcą wolą) przerażona wyjechała z Berlina. Prawdziwemu poecie bynajmniej bronić nie należy korzystania z motywu tak wdzięcznego. Schiller (w *Dziewicy Orleańskiej*), Kleist, Ibsen i Wagner przedstawiają uroczenie w sposób podobny, jako poeci głęboko rozumiejący naturę tego zjawiska. Zabronić natomiast trzeba powierzchownego traktowania sprawy hipnozy i suggestyi w powieściopisarstwie, goniącem za efektem, a zarazem publicznych i prywatnych doświadczeń, niemających celu naukowego. Zbrodnie popełnione karane będą zawsze, a skoroby wytropiono istotnie raz suggerenta, prawo postąpi z nim w sposób przykładny.

W. Preyer, znany fizyolog i autor prelekcyj o hypnotyzmie, twierdzi podobnie, jak Eulenberg, że rozkaz hipnotyzera nie wystarcza do uskutecznienia zbrodni skomplikowanych. Bądź co bądź jednak zachodzi realne niebezpieczeństwo wyzyskiwania hipnozy i suggestyi dla celów zbrodniczych. Według Preyera niema człowieka, o którym twierdzić by można, że zgoła nie posiada zdolności do hipnotyzowania, lub że zahipnotyzowanym być nie może. Lecz nadużycie spotyka wielką trudność: niepodobna prawie hipnotyzować kogoś przeciw jego woli. Szanse korzystania z hipnozy i suggestyi w sposób dodatni są znacznie większe. Preyer sam leczył skutecznie tym sposobem wielu pacyentów, oświadczając im z całą stanowczością, że wyzdrowieją, podsuwając im kulki z chleba zamiast pigułek, farbowaną wodę i t. p. Ze wszystkich faktów odkrytych przy badaniu hipnozy, Preyer suggestyę uważa za najdonioślejszy; w społeczeństwie odgrywa ona ważną rolę i po za obrębem hipnozy, a dla medycyny uzyska w przyszłości znaczenie, którego dziś nie przeczuwamy.

Najenergiczniejszym obrońcą sprawy hipnozy w rzędzie korespondentów *Deutsche Dichtung* jest dr. August Forel, psychiatra zurychski, kierujący znanym zakładem dla obłąkanych „Burghölzli" w Riessbach. Upatruje on w zjawiskach tych więcej stron dodatnich, aniżeli niebezpieczeństw. Stwierdza przedewszystkiem, że według doświadczeń jego najzupełniej słuszną jest teorya Liebaulta i Bernheima, iż hipnotyzm i suggestya są zjawiskami jednej kategoryi. W stosowaniu ich terapeutycznem należy trzymać się tego tylko, co jest dowiedzionem. Telepatya np., czyli wpływ człowieka na drugiego, oddalonego odeń, nie jest dowiedzioną. Lecz nie idzie za tem, aby wszystkie zjawiska telepatyczne, o których słyszymy, nazwać można zabobonem lub oszustwem. Cała historya ludzka pełną jest podobnych: wszędzie napotykamy spełnione przeczucia, dobroczynne skutki sympatyi itp. Forel wierzy najsilniej, że i tu, podobnie jak w kwestyi hipnotyzmu, zagadka się rozwiąże, i obok wielu złudzeń i... nieporozumień, wystąpią na jaw zajmujące fakty.

Działanie hipnotyzera opisuje Forel w sposób następujący. Każda czynność psychiczna jest dynamizmem mózgu, działa ona dynamicznie i materyalnie na system nerwowy. Cóż więc czyni hipnotyzer? Wpływa na wyobrażenia drugiego osobnika w sposób systematyczny. Naprzód dąży do rezultatów, które łatwo osiągnąć, aby w ten sposób przekonać drugiego o swej potędze. Im rychlej i pewniej operuje, tem łatwiej rozrywa skojarzenia umysłu hipnotyzowanego, i wstawia inne, o jakie mu idzie. Hypnoza, czyli sen poddawany, najlepiej się do tego nadaje, gdyż dynamizmy umysłu są rozluzowane i słabe. Skoro zaś podczas snu takiego udała się pewna ilość suggestyj, w takim razie nie potrzeba już wywoływać go, aby wytworzyć nadal zjawiska wprost zdumiewające. Wrażliwość na suggestyę w żadnym nie pozostaje związku z indywidualną siłą woli, w najściślejszym natomiast z plastycznością i ruchliwością wyobraźni. Są ludzie o nader silnej woli, którzy ulegają łatwo suggestyi, podczas gdy nieraz słabi opierają się jej, tworząc sobie bezwłocznie wyobrażenia sprzeczne z wyobrażeniami poddawanemi. Człowiek skłonny do refleksyi nie nadaje się do suggestyi, najbardziej zaś ulega jej wrażliwy.

Paradoks Delboeufa, że poddawać można to tylko, czego chce hipnotyzowany, zawiera wiele prawdy. Jest prawie niepodobieństwem wydostać w hipnozie prawdę z badanego, który nie chce wyznać swej zbrodni. Kłamie on i w hipnozie. Forel często doświadczył tego. Nie łatwo więc poddać czyn zbrodniczy, gdyż zahipnotyzowany w chwili kiedy spostrzega, iż nadużywamy zaufania jego, traci je, a temsamem i wrażliwość na suggestyę. *Zahipnotyzowany bynajmniej nie jest automatem: własne jego myślenie broni się o wiele silniej niż zazwyczaj przypuszczamy.* Forel spostrzegał często, że ludzie tracili wrażliwość na suggestyę, złoszcząc się, iż używano ich do doświadczeń w obecności osób obcych. Mimo to przypuszcza, że zbrodnię poddawać można, skoro się ma do czynienia z osobnikiem bardzo wrażliwym. Lecz ustawy dziś istniejące wystarczają, aby zbrodnie podobne badano i karano należycie, byleby tylko lekarze i prawnicy zapoznali się bliżej z przedmiotem. Rozpowszechnienie znajomości odnośnych zjawisk, o ile z jednej strony jest niebezpiecznem, o tyle z drugiej ochronnem, gdyż kładzie broń w ręce wszystkich.

Poezya naturalistyczna, zdaniem Forela, chybiła na razie swego zadania w opracowaniach motywu hipnozy i suggestyi. Dzieło sztuki nie może działać, skoro nie posiada prawdy wewnętrznej. Chcąc być prawdziwym, trzeba znać dokładnie procesy opisywane. Aby zaś je znać, trzeba doświadczyć czegoś podobnego. Bajki wysnute przy biurku na podstawie nieprzetrawionych dokładnie teoryj naukowych, są błędne, jednostronne, tendencyjne. Naturaliści w oczach Forela, to doktrynerzy. Oswald, paralityk, którego postać Ibsen kreśli w „Upiorach," nie posiada wcale cech takiego pacyenta. Każdy służący z zakładu obłąkanych orzekłby, że Oswald nie jest paralitykiem. Często natomiast spotyka się w poezyi ludowej opisy stanów obłąkania tak wzruszające i tak prawdziwe, że nie można wątpić, iż autorowie ich dokładnie przypatrywali się zjawiskom podobnym w życiu. Forel radzi przeto poecie naturalistycznemu: długich, sumiennych obserwacyj i dokładnych studyów. Przetwarzając bowiem w wyobraźni swej teorye naukowe, których nie zgłębił dokładnie, traci kompas zdrowego rozumu ludzkiego i kreśli świat sztuczny, jednostronny, pozbawiony prawdzi-

*) W rozstrzygniętej świeżo przez sąd paryski sprawie Eyrauda i Bompard o zabójstwo, kwestya ta była po raz pierwszy przedmiotem rozbioru prawnego, gdyż morderczyni broniła się, że działała pod wpływem suggestyi swego wspólnika. *Red.*

wej etyki, bez której społeczeństwo i sztuka rozkładają się rychło.

Oto poglądy dzielnego psychiatry, który sprawę suggestyi zgłębił w długoletnich doświadczeniach. Inaczej ocenia sprawę tę dr. Zygmunt Exner, fizyolog wszechnicy wiedeńskiej, który niedawno po Burcke'm objął katedrę. Dla niego kwestya, czy hipnoza i suggestya użyte być mogą jako motywy dla utworu poetyckiego, jest jednoznacząca z zapytaniem, czy stan oszołomienia, wywołany winem, morfiną lub kokainą, jest odpowiednim dla poezyi przedmiotem.

Ladawa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z POZNAŃSKIEGO.

29 grudnia 1890 r.

Wydalania landratowskie. — Komisya kolonizacyjna w kłopotach. — Ruch w towarzystwach. — Rezultat wyborów.

Półurzędowa i urzędowa prasa pruska wyrobiła zwolna w publiczności niemieckiej przekonanie, że Szlązk i Poznańskie stały się nietylko z imienia, lecz i *de facto* prowincyami nawskróś niemieckiemi, gdzie inne żywioły pozostają już w znacznej mniejszości, którą tylko tolerować należy do czasu. Położenie jednak przedstawia się nam odmiennie, skoro przypatrzymy się działalności samych sfer rządowych w tych dwu krajach. Co tam obawy o każdy ruch swobodniejszy ludności słowiańskiej, co zapobiegliwości, aby nie dopuścić jej do samowiedzy, że ona ma faktyczną w prowincyach przewagę, że niemieckie plemię wciska się w każdą szczelinę jej społecznego bytu! Od czasu do czasu wychodzi na jaw ta troskliwość. Mamy właśnie przed sobą jeden z urzędowych aktów takiej działalności; ogłosił go niedyskretny organ opozycyjny dla skompromitowania rządu pruskiego, a raczej dla dokuczenia mu w parlamencie Rzeszy. Jest to rozporządzenie wydane przez landratów w prowincyach wschodnich nadgranicznych do urzędów podwładnych. Wiekopomny ten dokument brzmi: „Skoro sprzęt ziemniaków i buraków zostanie ukończony, co bez wątpienia nastąpi z końcem października lub z początkiem listopada, powinny miejscowe władze policyjne postarać się o to, ażeby *robotnicy i robotnice polscy i ruscy, zatrudnieni w odnośnych okręgach podczas ubiegłego lata, z zajmowanego stanowiska zostali zwolnieni i powrócili do ojczyzny.* Komisarzom obwodowym i administracyjnym tudzież policyjnym zaleca się zatem staranie, ażeby aż do dnia 15 listopada r. b. wszyscy w ich obwodach zatrudnieni robotnicy i robotnice je opuścili i... powrócili do Rosyi. Gdyby zajść miał wypadek taki, iż ten lub ów robotnik lub robotnica nie chcą zajmowanej przez siebie posady opuścić dobrowolnie, powinny władze miejscowe o tem bezzwłocznie (schleunigst) donieść landratom, poczem nastąpi wydalenie odnośnych robotników na drodze *przymusowej.*"

Już nie Bismark lub Puttkamer, lecz przewodnicy urzędowi nowej ery wydali to rozporządzenie jako nagrodę za to, że posłowie polscy postanowili „królewski rząd pruski popierać" w jego działalności i głosowali w parlamencie za budżetem wojskowym.

Jak łatwo było przewidzieć, robotnicy polscy ani pomyśleli o uczynieniu zadość landratowskim rozporządzeniom i pozostali na miejscu po 15 listopada — od dnia tego zatem rozpoczęły się owe „przymusowe" wydalania, które prasa, nieznająca rozporządzenia, skrzętnie notowała i notuje. Gwałcone są przytem zarówno względy uczuć ludzkości, jak i powszechnie przyjęte przepisy prawa międzynarodowego. I tak wydalono w ostatnich dniach kilkunastu ludzi, którzy przez więcej niż trzydziestoletnie zamieszkanie nabyli prawo pobytu stałego w państwie pruskiem i nigdy robotnikami na roli nie byli, tudzież nakazano wydalić się takim robotnicom, które przez wyjście za mąż za obywatela pruskiego posiadły obywatelstwo niemieckie.

Komisya kolonizacyjna weszła w nową fazę działalności. Pierwszy zapęd sprzedających już ustał, tak samo jak ustał napływ kolonistów niemieckich, którzy mimo wielu udzielonych im ulg i swobód nie znaleźli w nowym nabytku ziemi obiecanej. Dlatego też ogłosiła w „Westpreussische Landw. Mitth." odezwę do „synów gospodarskich," oczywiście niemieckich, zachęcając ich do osiedlenia się w Poznańskiem. „Praca nasza — dosłownie cytujemy charakterystyczny ustęp — która z początku z różnemi walczyć musiała trudnościami, coraz lepszym bywa wieńczona rezultatem (sic) i w pocieszający sposób udało się dzielne niemieckie żywioły (!) na niegdyś polskich osiedlić dobrach... *Należy im w interesie germanizacyi i pomyślnego rozwoju stosunków na naszym wschodzie życzyć jak najlepszego powodzenia.*" To dzielne niemieckie żywioły — to dobrze znane gdzieindziej indywidua, które z porządkiem publicznym nigdy nie zdołały należycie się pogodzić, o czem komisya dyskretnie przemilcza. Pochodzą one głównie z Prus Zachodnich i z W. K. Poznańskiego (264), szlązaków jest 69, brandenburczyków 46, pomerańczyków 27, nadreńczyków 19, westfalczyków 18, wirtenberczyków 12, kolonistów z Prus Wschodnich 10, hanowerczyków 8, sasów 8, z innych prowincyj niemieckich 5 i 29 z Rosyi.

Już od kilku tygodni objawia się tu nader ożywiony ruch we wszystkich stowarzyszeniach, które w grudniu zamykają swój doroczny rachunek i ogłaszają bilans czynności. Najlepszymi rezultatami poszczycić się mogą „Towarzystwa Pomocy naukowej, jak np. dla powiatu chodzieskiego i nakielskiego. Każde z nich wykazuje dodatnie owoce swej pracy, każde dowodzi, że roku ubiegłego nie zmarnowało. Jak wielkie osiąga się cele małymi środkami, popartymi mrówczą pracą, przekonywa wymownie jubileuszowe zebranie Towarzystwa w Nakle, które obchodziło obecnie uroczystość 50 letniego istnienia. Przez ten czas wyposażyło ono około 4,300 stypendystów, z których przeszło 2,000 doszło do pewnego zawodu, według karyery, jaką sobie obrali. Fundusz żelazny w sprawozdaniu za r. 1889 wynosi 422,922 mr. watrości 401,786, a ogólna suma zebranych pieniędzy przez lat 50 dosięgnie przeszło 2,000,000 mr. Pomimo takich rezultatów członkowie naradzali się nad rozwinięciem jeszcze większej gorliwości w tak pożytecznej pracy. Za najlepszy środek uznano wciągnięcie do Towarzystwa wieśniaków, których synowie najwięcej z funduszów „Pomocy" korzystają i najwięcej toż działalność jej ocenić umieją, jak wskazał włościanin Wiśniewski, który na zebranie Towarzystwa przybył z miejscowości o siedm mil od Nakla odległej, podczas kiedy szlachta okoliczna świeciła nieobecnością.

Do parlamentu mimo odgrażań się wolnomyślnych, z którymi połączyli się także polscy wyborcy, wybrano z powiatu człuchowsko-złotowskiego kartelowca. Rząd użył takiego nacisku i niemal gwałtów, iż kandydat wolnomyślny musiał upaść. Kartelowiec Helldorf otrzymał 10,422 głosów, Neukirch — tylko 7,728.

ł. z.

LIBERUM VETO.

Widok nieznany w dziejach nauki. — Lekarze szczepiący płyn tajemniczy. — Państwowy monopol środka leczniczego. — Geszeft wydobyty z badań. — Przyczynek do emigracyi brazylijskiej. — Handel niewolnikami w Ameryce. — Polacy na targu. — Bezrobocie nie jest siłą wyższą. — Naganka karnawałowa. — Żywe obrazy z radców Towarzystwa kredytowego ziemskiego.

Historya nauki nie zapisała dotychczas takiego wypadku, jaki zdarzył się i trwa od kilku tygodni przed naszemi oczami. Ażeby na całym obszarze cywilizacyi lekarze szczepili chorym a najpoważniejsi badacze doświadczali w szpitalach płyn, którego wcale nie znają, tego doprawdy jeszcze nie było. Wszystkie kraje europejskie już posiadają kochinę, wszędzie jest ona wypróbowywaną w chorobach gruźliczych, wszędzie stosowaną skwapliwie, o ile zapasy starczą — a dotąd oprócz jej wynalazcy i kilku osób wtajemniczonych nikt nie wie, z czego się składa owa kochina. Nie dość tego, jeżeli pewne znaki nie mylą, nikt długo jeszcze wiedzieć nie będzie. Gdy Koch w swojem oświadczeniu usprawiedliwiał zachowanie tajemnicy potrzebą lepszego zbadania środka i obawą nadużyć, nie podzielaliśmy tej ostrożności, ale do pewnego stopnia można ją było uznać, jeżeli przestrzeganą być miała tylko parę tygodni, czy miesięcy. Ale obecnie widzimy, że to odkrycie naukowe stanie się narzędziem ohydnego wyzysku, że kochina będzie krową, którą już doją niektórzy lekarze niemieccy a wkrótce ma doić państwo. O ile plan spekulacyi zarysował się na zewnątrz, rząd niemiecki chce wynagrodzić Kocha ogromną sumą pieniędzy, nabyć za nią sekret i monopol wyrabiania limfy a z rozprzedaży jej i z dochodów za leczenie pokryć wydatek i jeszcze zarobić na geszefcie. Przyznać trzeba, że ten pomysł przewyższa swą genialnością samo odkrycie, a bezwstydem nie wyrównywa mu żaden inny w dziedzinie nauki. Takim niegodziwym handlem nigdy ona się nie pokalała. Nigdy bowiem nie użyto tajemnicy wyniku jej badań dla opodatkowania nieszczęśliwych, nigdy w imię wiedzy, mającej łagodzić cierpienia ludzkości nie nałożono kontrybucyi, nigdy nie ukryto prawdy dla osiągnięcia korzyści materyalnych. Nie jest to zaś tylko zmonopolizowanie zysków, ale także dociekań naukowych. Dopóki kochina będzie substancyą nieznaną, dopóty nikt po za pracownią jej wynalazcy nie będzie mógł postępować po drodze przez niego wskazanej, dopóty nie otworzy ona innych możności wysnuwania dalszych wniosków leczniczych. Na nieszczęście w sferze tego rodzaju działań i stosunków ludzkość nie posiada prawa przymusu, posiada jedynie prawo rzucenia hańby. Jeżeli ta ostatnia nie odstraszy geszefciarzów niemieckich, żadna inna nie znagli ich do odsłonięcia tajemnicy. Założą w Berlinie fabrykę limfy, którą sprzedawać będą na wagę złota, założą szpitale, gdzie za drogą opłatą przyjmować będą chorych, wszystkie złorzeczenia odpierać będą szyderstwem, nie ulękną się zgrozy całego świata, przeciwnie zaprzęgą w nim wszystkich specyalistów do pracy badawczej nad tajemniczym środkiem.

Chociaż liczne głosy zachęcają rząd niemiecki do tej sromoty, przed spełnieniem jej wolimy jeszcze łudzić się nadzieją, że on ich pokusie nie ulegnie. Sam Koch nie chciał taić swego środka i odrazu skład jego ogłosić; do zachowania tajemnicy namówił go Gossler, który, jak się zdaje, jest głównym orędownikiem geszeftu. Sądzimy również, że poważniejsi lekarze niemieccy powitaliby wiadomość o upaństwowieniu wyrobu limfy ze wstrętem. Niedawno Virchow w rozmowie z korespondentem *New York Heralda* zauważył, że widok gromady lekarzów szczepiących środek nieznany, jest wielce rozśmieszający; mniemamy, że przyznałby

on również, iż postępowanie narodu czy też rządu, który, posiadając ów środek, zamknął go w niedostępnym sekrecie, jest skandaliczne. To też bez względu na skutek, opinia publiczna całego świata powinna napiętnować taki samolubny zamiar. Jeżeli skandal ten się spełni, niech przynajmniej spełni się pod właściwem imieniem.

Po rozporządzeniu, zamieszczonem w *Prawit. Wiestniku* a ograniczającem u nas stosowanie kochiny w celach leczniczych do szpitalów pod ścisłym nadzorem, chwilowo zawieszono wstrzykiwanie jej. Próby dalej odbywają się znowu, ale tylko w tym zakresie, wyłączającem praktykę prywatną. Jeżeli tedy skład limfy Kocha nie zostanie ujawniony, do praktyki tej nigdy ona nie wejdzie, chorzy zatem po za szpitalami korzystać z niej nie będą mogli. Oto są następstwa monopolu, a zarazem oto są dowody, potwierdzające szczerość deklamacyi o bezinteresownej pracy dla dobra ludzkości, o chęci uszczęśliwienia jej, o kapłaństwie nauki itp. Frazesy, frazesy i tylko frazesy! Wylatują one z ust lub piór jak bańki mydlane, dopóki nie dmuchnie na nie brutalny interes; wtedy pękają, a świątynia wiedzy zamienia się na sklep, ołtarz — na stół z towarem i kapłani rozpoczynają najzwyklejszy handel.

Pragnąłbym, ażeby tym wszystkim uwagom jutro zaprzeczyło doniesienie z Berlina, uwiadamiające, że z wynalazku Kocha zdjęte zostały pieczęcie tajemnicy i że wielki naród nie chce się bogacić małym szwindlem.

Lizboński korespondent *Kuryera warszawskiego* rozjaśnił nieco wielki szwindel, jakiego się dopuścił rząd brazylijski względem wychodźców, za których towarzystwom przewozowym zapłacił po 120 franków od sztuki dorosłej (połowę lub czwartą część tej sumy za dzieci), ale p. Dygasiński dotychczas zawodzi nadzieje związane z jego wyprawą. Jest on raczej turystą, niż agentem śledczym, reporterem zachodniego stylu: opisuje widoki i wrażenia. O to nam nie chodziło, a w każdym razie mogliśmy o tem dowiedzieć się później. Przedewszystkiem radzibyśmy usłyszeć: jaki los spotkał lub czeka naszych wychodźców i w jakim celu rząd brazylijski tę niszczącą nas gorączkę emigracyjną wywołał? Wieści o zapędzaniu biednych ludzi w matnię niewoli nie ustają. Możemy zaś im tem snadniej wierzyć w odniesieniu do Brazylii, jeżeli handel ludźmi istnieje w... Stanach Zjednoczonych. Prowadzą go tak zwane biura stręczeń pracy w New-Yorku, które łowią zubożałych, głodnych, nieznających języka a szukających zajęcia wędrowców i wziąwszy od nich cyrograf, posyłają ich w odległe okolice na dożywotnie ciężkie roboty. Niecne te łowy, niczem nieróżniące się od zapredawania murzynów, opisał w świeżo wydanem dziele (*Bilder u. Skizzen aus Amerika*) L. Bürger, który między innemi opowiada następujące zdarzenie: *)

„W październiku zeszłego roku pewien farmer, nazwiskiem Parsons, w stanie Massachusetts, został skazany na karę za to, że przywiózł na targ polaka w kajdanach, ażeby go sprzedać. Niewolnik leżał w otwartym wozie, nieco przykryty słomą. Kiedy Parsons wszedł do jednego z domów, ażeby się rozgrzać, jęki zmarzniętego polaka zwróciły uwagę kilku przechodniów. Zbadali oni wóz i przekonawszy się, że biedak był pod słomą okuty w kajdany, kazali aresztować farmera, który uczuł się wielce obrażonym. Od wielu już bowiem lat handlował polakami, których sprowadzał przez agentów z Castle Garden, a nawet z Europy. Obiecywał im 12 dolarów na miesiąc, a nie dał nigdy ani centa. Sprzedawał ich za znaczne sumy swoim przyjaciołom i towarzyszom, farmerom w Massachusetts. Chłostą, ciężką pracą i głodem wymuszano na nich uległość. Niektórzy uciekali, niektórzy umierali nagle, tylu wszakże pozostawało ich, dzięki nieustającemu napływowi emigrantów, że Parsons robił korzystne interesy. Publiczność chciała go z początku *lynchować* (zabić na miejscu), ale uspokoiła się wkrótce, gdyż chodziło zaledwie o kilku polaków. Dziś ten handlarz niewolników może znowu wrócił do swego przedsiębiorstwa, gdyż natychmiast wstawił się za nim jakiś poręczyciel, a winowajcę trzymano w więzieniu tylko jeden dzień. Jest zaś wielu ludzi, żyjących z handlu niewolnikami, a kwitnąć on będzie dopóty, dopóki nie zbraknie głupich przybyszów, którzy na przekór wszelkim ostrzeżeniom, bez żadnych pewnych widoków opuszczają swoją ojczyznę i nie znając języka, nie posiadając stosunków, stają się łupem agentów."

Jeżeli tak się dzieje w Ameryce północnej, w ucywilizowanych Stanach Zjednoczonych, to cóż mówić o południowej, o barbarzyńskiej Brazylii! Skoro stamtąd przybędzie do nas kiedykolwiek naga, nieosłonięta kłamstwami prawda, przerazi ona nas swą okropnością, ukaże nam te tysiące wychodźców w piekle nędzy, pracy, wyzysku i poniewierki. Nie dla dogodzenia sentymentom rząd brazylijski zapłacił towarzystwom przewozowym po 120 franków za sztukę, wyciśnie on ten kapitał z nieszczęśliwych ofiar i nie zmarnuje w kupionym towarze ani jednej kropli roboczego potu lub męczeńskiej krwi.

Zapowiedziana sprawa zabójcy Maryi Wisnowskiej, dzięki ustawicznym przypominaniom *Kuryerów*, tak łechce ciekawość publiczności sal sądowych, jak gdyby to był najponętniejszy „bal bez nudów" przyszłorocznego karnawału. Nic też dziwnego, że zwrócona w tę stronę uwaga przeoczyła inny ważniejszy proces, który rozstrzygnęła Izba sądowa warszawska. Stanęło przed nią pytanie: czy przedsiębiorca lub fabrykant jest odpowiedzialny za niewykonanie zobowiązań skutkiem zmowy swoich robotników? Taki spór wynikł między francusko-włoskiem towarzystwem kopalni węgla a rządowymi zakładami górniczymi. Otóż Izba orzekła, że bezrobocia nie można uważać za „siłę wyższą," zwalniającą od spełnienia zobowiązań; przedsiębiorcy służy tylko prawo poszukiwania swoich szkód i strat na robotnikach, jeżeli oni byli winni przerwy w pracy. Wyrok ten ma wielkie znaczenie dla wszelkiego rodzaju najmitów, dodaje on bowiem wagi ich żądaniom w sporach z przedsiębiorcami. Ci ostatni, wiedząc, że bezrobocie nie jest przez sądy uważane za „siłę wyższą," usprawiedliwiającą niedotrzymanie zobowiązań, zyskają na... miękkości.

Głodny i obdarty nadwiślanin, który pragnąłby tylko przezimować siebie z rodziną, wyłatać dziury, napełnić codzień garnki i opalić piece, nie ma chwili spokojnej od *Kuryerów*, które z jakąś szczególną zawziętością namawiają go do balowania w karnawale. Nieraz zdaje się, że jak niedźwiedzia w Smorgoni postawią go na rozpaloną blachę, aby koniecznie skakał. Już zrozumiałem tajemne cele agentów brazylijskich, ale daremnie badam, co za interes mają w tem nasze huczki zapustne, ażeby biedaków napędzać do karnawału, ażeby rozbawiać Warszawę, a z nią kraj cały. Czy ludzie ci są rzeczywiście tak bez miary lekkomyślni i tak o skutki swych pobudzeń niedbali, czy nie zastanawiają się wcale nad tem, jaką wyrządzają nam szkodę? Bieda rozpostarła się szeroko, zajrzała nawet do tych sfer, które dotychczas omijała, kwestya bytu stanęła przed ogółem groźnie, nadzieja poprawy warunków życia gaśnie w ostatnich promieniach, a tymczasem *Kuryery* rozkrzykują na wsze strony hasła zabawy. Gdyby ktoś uwziął się, ażeby nas popychać ku przepaści, nie wynalazłby skuteczniejszego środka. Jest to systematyczne upajanie bankruta, ażeby go nakłonić do roztrwonienia resztek majątku wtedy, kiedy należałoby szczególną trzeźwością zabezpieczać go od marnotrawstwa i zupełnej ruiny.

Jeżeli zaś nieodwołalnie mamy się bawić w karnawale, to ułóżmy sobie żywe obrazy z radców Towarzystwa kredytowego ziemskiego, bo ciągle ukazywana ich galerya w pismach ilustrowanych zaczyna być nudną. Byłoby to i niekosztowne i nowe, a może wreszcie wyczerpałoby naszą cześć, jaką żywimy dla tych mężów, którzy podobno sami pytają siebie po cichu: czy radca nie wiesz przypadkiem, co takiego zrobiliśmy, że nam ciągle każą występować na balkon dziennikarski dla ukazania się narodowi?

Poseł Prawdy.

*) *Echo.* 434, Berlin.

NA WIDNOKRĘGU.

Mój pesymizm socyologiczny a widoki drobnomieszczańskie i małe idee Prusa. — Apoteoza małomieszczańska i karykatura logiki. — Czy opluwałem chłopa?

W jednej z poprzednich moich kronik życia naszej prowincyi, przebiegając okolice dotknięte „zarazą" wychodztwa chłopsko-rzemieślniczego, na którem najbardziej cierpią dziedzice i kapitaliści, a po nich dopiero ich mgła idealistyczna — mimochodem nadeptałem na idealistyczny odcisk Prusa. Prościej mówiąc, wyraziłem obawę o los jego inteligenckiej kwintesencyi chłopa — *Ślimaka* — wobec prądu wychodźczego, którego objawy zadają kłam temu widziadłu stroskanych umysłów o przyszłość kraju... Spotkały mię za tę śmiałość aż dwa zarzuty: jeden zasadniczy, mający dotykać moich przekonań społecznych — „pesymizm socyologiczny," drugi wymierzony moim wzruszeniom domyślnie jakoby tkwiącym w istocie moich poglądów, mianowicie zarzut, że opluwam chłopa, „który nas karmi od wieków i który nas toleruje od wieków, choć dla jego dobra nic nie robimy."

Zarzut pesymizmu socyologicznego, jako słusznie nałożny zajętemu przeze mnie stanowisku wobec dzisiejszego porządku rzeczy — przyjmuję: jest to zarzut krytycyzmu społecznego, który dla mnie i pokrewnych ze mną zasadami ludzi ma tę dogodność, że stawia nas jaknajdalej od społecznego optymizmu, czyli bezkrytycyzmu Bastiatów, Carey'ów, Coste'ów, Schultzów z Delitsch i ich w najprostszej linii potomka — Prusa, naszego niezrównanego czciciela „zdrowego rozsądku" w życiu i publicystyce. Że p. Prus obrał sobie rolę sternika skołatanej łódki drobnej produkcyi, nie mogę mu tego mieć za złe — jest to sprawa jego litościwego serca, które nie może znieść poniewierki upośledzonych. Małomieszczaństwo i wogóle maluczcy wystawią mu winni — i z pewnością wystawią kiedyś — wspaniały pomnik z następującym napisem: „Filantropowi socyologicznemu, który nigdy nie wychodząc ze sfery naszych pojęć, niezmordowanie cerował luki ustroju współczesnego: słowem, uczynkiem, popieraniem zacnych myśli pokrewnych sobie łataczów społecznych; dobroczyńcy krajowemu, który głęboko zapatrzony w przyszłość, usiłował odwrócić bieg rozwoju życia gospodarczego u nas *) i w szlachetnem uniesieniu prawego obywatela kraju, do żywego przejęty grozą „nędzy niebezpiecznej" (wzrostem proletaryatu, tak podatnego na „zarazki"), radził młyny parowe zastąpić deptakami, a wielkie maszynowe tkactwo wzbogacające nie nasz, lecz niemiecki i żydowski kapitał — krosnami i samodziałem prącjców naszych."

Napisy jednak wyrzynane na pomnikach ręką rzeźbiarza, uzupełniane bywają uwagami figlarnych przechodniów — w dopiskach lub karykaturach. Komuś np. przyj-

*) Patrz „Kronikę tygodniową," *Kur. codz.* nr. 338.

dzie do głowy narysować tabetyka, albo wogóle człowieka o rozstrojonej koordynacyi ruchów, którego nogi stąpają nie tędy, dokąd je wola skierowuje i podpisze: „Logika filantropa socyologicznego.“ Nieprzystojny to byłby żart ze strony naśmiewcy, ale w skrytości ducha uznać bym musiał jego trafność, bo zbyt żywo tkwią mi w pamięci następujące rozumowania o wychodźstwie:

„Przyczyna emigracyi jest nadewszystko ta, że u nas w niektórych okolicach zaczyna być ludziom ciasno, że zaczyna im braknąć i roboty i chleba. Bardzo pięknie. Ale ze względu na stopień udziału w dochodzie społecznym — jakbyś nazwał takiego chłopa, ty czytelniku: że jest biedakiem skończonym? Nie inaczej. Ale ktoś robi zarzut Prusowi: wyjaśnienie pańskie jest fałszywe, bo do Brazylii wychodzą nie najbiedniejsi (to jest tacy, którym chleba i roboty braknie — *przyp. autora*), ale średnio zamożni. „I w tem nic dziwnego — brzmi skwapliwa odpowiedź: to samo bowiem dzieje się z emigracyą każdego kraju. Gdy jest ciasno, więc ktoś musi wyjść. Nie wyjdą najbogatsi, bo tym jest dobrze; nie wyjdą najbiedniejsi, bo ci nie mogą, więc — wychodzą średnio zamożni. Wyobraźmy sobie pokój, w którym może oddychać tylko 10 osób, a oddycha 15. Siedzący przy oknie nie doznają braku powietrza, siedzący po kątach mogą być tak osłabieni, że się nie ruszą. Więc któż wyjdzie z pokoju?.. Rozumie się że ci, którzy, czując brak powietrza, mają jeszcze siłę do wyjścia.“ Śliczny, malowniczy i wymowny obrazek, ale cóż, kiedy *comparaison n'est pas raison!* Mamy więc następujące sformułowanie przyczyn wychodźtwa: Emigrują niemający ani chleba, ani roboty (więc chyba najbiedniejsi?), ale najbiedniejsi, ponieważ nie mogą — nie emigrują, zatem emigrują średnio zamożni. Tak samo zupełnie z stąpaniem człowieka o rozstrojonej koordynacyi ruchów: chce stąpać nogą lewą, a stąpa — prawą. W rzeczywistości wychodzą i jedni i drudzy (niech szanowny statystyk swoim zwyczajem określi na poczekaniu stosunek procentowy), ale czcigodny mój oskarżyciel, jako specyalista w logice, nie powinienby dopuszczać, żeby ona mu aż takie figle płatała — nie powinien na to pozwolić choćby ze względu na fakt, iż jest najwybitniejszym u nas obrońcą interesów małomieszczańskich*). W przeciwnym razie, co pocznie rzeczywistość z takiem oto uogólnieniem: „Przeciętny chłop jest zdrowszy, *pomimo nędzy*, od przeciętnego inteligenta“? Po kiegoż licha emigruje, skoro mu ta najgłówniejsza przyczyna wychodztwa służy lepiej, niż inteligentowi dobrobyt?

Tylo o apoteozie małomieszczaństwa Prusa i figlach logicznych — o pesymizmie moim zamilczę, bo przeciwstawianie jego czemuś innemu za daleko mogłoby mię zaprowadzić. Przystępuję do zarzutu opluwania chłopów. Z tą pretensyą nic mam nic do czynienia. Poproszę tylko mojego prokuratora, niech mi wskaże, gdzie, kiedy i za co miałbym plwać na tę „deskę zbawienia?“ Jeśli Prus jest tak dobrym psychologiem, jak socyologiem, statystykiem i logikiem — niechże mnie z łaski swojej nauczy, w jakich warunkach psychologicznych, prócz znanych mi, powinienbym się znaleźć, żebym miał możność wymyślania chłopom? Bo ja znam jeno kilka takich stanowisk społecznych, które gdybym zajął, dopiero mógłbym odpowiednie warunki psychiczne posiąść. Ale nie jestem ani dziedzicem, ani jego zastępcą (ekonomem), nie jestem ani właścicielem cukrowni, kamienicznikiem, ani też kiedykolwiek byłem ideologiem „kmiotków.“ Jako więc nie-dziedzic, nie-ekonom i nie-cukrownik — obcy jestem ich emocyom, wyrastającym na gruncie wyzysku siły roboczej i pretensyj do cnót najmickich; nie mam więc sposobności być aż tak subjektywnym klasowo, żebym mógł łajać „od chamów,“ zaćmiwszy sobie oko bielmem. Jako nie-kamienicznik i nie-posiadacz ogniska domowego — nie mam do czynienia ani ze stróżem, ani ze sługą, rekrutującymi się zwykle u nas z chłopów; tracę więc i tym razem sposobność spotwarzania tych, „którzy nas od wieków karmią i tolerują...“ I nareszcie — jako nie-ideolog kmiecy, którym wątpię, czy kiedykolwiek naprawdę byłem, nie potrzebowałem czekać aż emigracyi brazylijskiej, żeby się rozczarować do chłopa. Owszem, jako klasę produkcyjną, wyłączając wzbogaconych — jako ludzi pracy, jako pół-proletaryuszów, ja proletaryusz — szanuję. „Urządzać“ zaś moim pesymizmem i przytem „pięknie,“ ani ich (chłopów), ani wszystkich razem (tj. kraj z Prusami) — istotnie nie potrafiłbym, ale mógłbym natomiast zalecić coś skuteczniejszego i bardziej przestronnego, niż to, co zaleca apteczka małomieszczańska... Mój pesymizm służy mi tylko do torowania drogi i wyświetlania fałszów. Mogę zapewnić mojego oskarżyciela, że jego *Parzellenparadis* wybornie da się zastąpić czemś lepszem.

Jeśli czemkolwiek zasłużyłem na naganę ze strony autora *Placówki*, to chyba nieprzyzwoitem zachowaniem się wobec ołtarza jego wiary społecznej — wobec *Ślimaka*. Ale nawet i tutaj — nie plwałem, co najwyżej „wytrząsałem się“ może nieco, ale byłem podrażniony niemocą inteligencką — „ślimactwem.“ Zaznaczając, iż grunt teoryj naszych ideologów kmiecych chwieje się pod naciskiem niektórych faktów emigracyi (np. opuszczanie kraju przez statecznych i zamożnych gospodarzów), miałem do czynienia tylko z widziadłami idealistycznemi: rzeczywistych chłopów, zdala od „zielonych stolików“ ciągnących taczkę swojego żywota, nie tknąłem ręką profana. Szło mi głównie o to, że jakkolwiek mój szanowny oponent obejrzał chłopa od stóp do głowy, wszechstronnie, ale nie wiem, jakim zbiegiem okoliczności, w Ślimaku odtworzył go na własny, inteligencko-małomieszczański, obraz i podobieństwo. Kazał mu, jak pijanemu płota, oburącz trzymać się lichego, jałowego szmatka ziemi; robiąc go takim ascetą zapewne szedł twórca za własnem marzeniem o raju parcelowym, w którymby każdy „ślimak“ miał raz i na zawsze wyznaczoną sobie grzędę, na której wysiadywałby jaja lepszej przyszłości. Ale taka apoteoza „przywiązania do roli“ mało ma do czynienia z tyle wychwalanym zdrowym rozsądkiem rzeczywistego chłopa, który ma raczej gorączkę, żarłoczność ziemi. Pod ręką nie mam faktów na poparcie tego twierdzenia, ale i Prus na poparcie swojego nie wiele może ich przytoczyć. A nawet te, które przytacza z „Pamiętnika gub. warszawskiej“ z r. 1880, jako świadków bohaterskiej walki chłopa z kolonistami, dowodzić mogą raczej „pażerności“ kmiecej, lub posłuszeństwa własnym interesom materyalnym, co pod kątem widzenia inteligenckiego łudzi pozorami posłuszeństwa wzniosłej idei. Nie warto też zapominać i o święcie zanotowanym fakcie przez Dygasińskiego, który skrupulatnie obserwuje tysiączną partyę wychodźców-chłopów odbywającą z nim razem podróż do Brazylii. Uderzyło go to, że przez całą drogę w tak licznej gromadzie nie znalazł się ani jeden, coby zatęsknił za krajem.

Otóż tak wygląda moja sprawa dyfamacyi wobec apoteozy przywiązania chłopa do ziemi.

Z. Atanazy.

---

*) Jakie figle płata p. Prusowi szczególnie przez niego umiłowana logika, z której łuku on — według przysłowia — „w piętę mierząc, w nos uderza,“ przytaczam następujący szereg jego twierdzeń.

„Przeciętny chłop jest *zdrowszy*, pomimo nędzy, od przeciętnego inteligenta. Jest *moralniejszy* od mieszczucha. Ma *więcej zdrowego rozsądku*, aniżeli oni obaj razem.“ Słowem, w światku parcelowym dzieje się jaknajlepiej, tak iż można z wieszczem powtórzyć: „wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!“ Tymczasem tenże sam chłop u p. Prusa emigruje dla tego, że mu jest „ciasno,“ że jest biedny ! — przypomnijmy to — że „amulet zdrowego rozsądku“ nie broni go przed głupiemi mamidłami agentów; tenże samiutki chłop jednakże — „pomimo nędzy“ — jest „zdrowszy“ moralniej i prześciga nawet p. Prusa — zdrowym rozsądkiem!. *Przyp. aut.*

KRONIKA.

Gorączka ostatnich instancyj. Od czasu puszczenia w obieg limfy Kocha i rozpoczęcia szczepień patrzymy na dziwaczne i po części gorszące zjawisko nierozwagi naukowej. Lekarz, który przejechał się do Berlina, publicysta, który ma ciągle swoje trzy grosze do wtrącenia w każdą sprawę, reporter zaglądający do poczekalni szpitalnych — wszyscy wyrokują w ostatecznej instancyi o skuteczności lub bezskuteczności nowego środka. Niedawno rozpoczęte u nas doświadczenia, prowadzone z wielką sumiennością, powinnyby umiarkować zbytnią pochopność do przedwczesnych sądów i powstrzymać ją aż do chwili, kiedy osiągnięte wyniki powiedzą coś stanowczego. Tymczasem głosowanie na wiatr trwa dalej. Uskarżano się, że jego urnami są *Kuryery*, ale oto wystąpiła nowa w piśmie naukowem, które z natury swojej i obowiązku powinno zalecać ostrożność twierdzeń — w *Zdrowiu*. Zamieściło ono artykuł nietylko nieopatrzny, ale bezmyślny. Żąda np., ażeby limfą Kocha, która jakoby wykazała swą bezużyteczność a nawet szkodliwość, szczepiono tylko w szpitalach, a nie używano jej w praktyce prywatnej. Alež w szpitalach są także ludzie, a chociaż biedniejsi, mają jednak prawo do tego, ażeby ich nie uważano na równi z królikami i świnkami morskiemi, z którymi można bezkarnie robić wszelkie doświadczenia i wstrzykiwania. W tej też sprawie odbieramy list następujący:

Szanowny Redaktorze!

Ostatni numer *Zdrowia* zawiera przedstawienie wyników doświadczeń z limfą Kocha w szpitalach warszawskich. Fakty w tem przedstawieniu są zebrane tak niedokładnie i niewystarczająco, nadewszystko zaś wnioski wyciągnięte tak lekkomyślnie, że jako bliżej obeznany z przedmiotem, a zarem dotychczasowy członek redakcyi *Zdrowia*, zmuszony jestem przeciwko temu artykułowi zaprotestować, oraz zrzec się dalszego mojego współudziału w tem piśmie.

Upraszam inne pisma o powtórzenie tego listu.

Z poważaniem

O. Bujwid.

Odczyt. Jeżeli odczyt p. W. Czajewskiego o pocałunku miał odegrać rolę jednego z ognisk, rozpalanych na placach Warszawy dla rozgrzania zziębniętych, chwalimy zamiar. Ale jeżeli rościł on sobie pretensyę do wykładu, dla którego potrzeba było bodaj kilkadziesiąt osób ściągnąć do resursy Obywatelskiej podczas mrozu — podziwiamy szczególny kaprys prelegenta. Niczego bowiem nie nauczył, a zmarnował słuchaczom parę godzin czasu i ciepła.

Spotkanie się ostateczności. Podczas pobytu swego w Krakowie Modrzejewska obok bezprzytomnych uniesień ze strony publiczności, przewyższających nieraz nawet ten „szczyt,“ na którym kiedyś postawiono artystkę w Poznańskiem, jako „przewodniczkę młodzieży polskiej,“ stała się powodem innego bezwiednego humoru. Mianowicie musiała „Miejskiej kasie ubezpieczenia robotników na wypadek choroby“ zapłacić 1 złr. 4 c. za „19 dni roboczych.“ Ten kwiatek biurokratyzmu austryackiego wyrósł stąd, że aktorzy krakowscy nie po-

siadają własnej instytucyi przezorności lub stowarzyszenia i zaliczani są do wyrobników, obowiązanych wnosić składkę na wypadek choroby.

Ścisław Szrednicki, adwokat tutejszy, jeden z najsympatyczniejszych i najlepszych ludzi, zginął przedwcześnie dla rodziny i społeczeństwa skutkiem okropnego zdarzenia. Na polowaniu we wsi Karwinie z dubeltówki trzymanej przez jego małego syna padł wypadkowy, jakąś nieostrożnością spowodowany strzał, który zabił Szrednickiego odrazu. Taż sama strzelba drugim nabojem przy przewożeniu trupa zraniła niebezpiecznie furmana. Nieboszczyk osierocił trojo własnych dzieci i żonę, kilkanaścioro obcych, mieszkających u niego na wsi, dla których oderwany od rodziny ciężko pracował. Serdecznym żegnamy go żalem.

Ustawodawstwo. W „Zbiorze praw" ogłoszono postanowienie o rozszerzeniu na gubernie Królestwa mocy prawa obowiązującego w Cesarstwie co do wydzielania włościanom gruntów skarbowych w dzierżawę bez licytacyi i kaucyi.

Szkoła bankowa. *Warsz. Dniewnik* pisze: „Dnia 6 (18) grudnia w życiu warszawskiego kantoru Banku państwa dokonał się fakt, mający w istocie znaczenie społeczne: w dniu tym za pozwoleniem pana kuratora naukowego warszawskiego nastąpiło otwarcie szkoły dla dzieci stopni niższych, znajdujących się w służbie kantoru bankowego. Ażeby zrozumieć znaczenie tego faktu, należy wiedzieć, że przy kantorze warszawskim jest niższych stopni rozmaitej nazwy (stróżów, woźnych, rachmistrzów itp.) około 50 ludzi, których większość składa się z ruskich familijnych osób. W większej części ożenieni są oni z polkami i tu dość zwykłe powtórzyło się zjawisko w tym kraju, że dzieci ojców ruskich nie rozumieją mowy ruskiej. Nadto wiele z tych dzieci, doszedłszy do wieku szkolnego, pozostawało bez nauki i na dobitkę często bardzo bez żadnego dozoru ze strony rodziców, ponieważ ojcowie całymi dniami zajęci są służbą, a matki — gospodarką, a także różnemi robotami po za domem dla powiększenia środków do życia w rodzinie. W ten sposób dzieci żyły i rosły, jak to mówią, samopas, spędzając w obszernym dziedzińcu bankowym dni całe od rana do późnej nocy na zabawach tylko i swawolach i pozostając niestety bez wychowania religijno-moralnego. Czyż trzeba dowodzić, jak smutne jest i nienormalne położenie takie ruskich dzieci? Owóż dla nich to właśnie przeważnie otwarto w murach warszawskiego kantoru Banku państwa szkołę czysto-ruską z ruską nauczycielką pod najbliższym dozorem i kierunkiem rady pedagogicznej, złożonej również z osób ruskich."

Sprawy społeczne. *Warsz. Dniew.* donosi, iż sprawa Barteniewa, zabójcy Wisnowskiej, odbędzie się 22 stycznia w warszawskim sądzie okręgowym.

— Dn. 14 grudnia zwrócono od granicy ze Szczypiorny partyę emigrantów z pow. konińskiego i słupeckiego, przeważnie z włościan złożoną.

— Towarzystwo wolno-ekonomiczne w Petersburgu utworzyło z członków swoich komisyę dla opracowania projektu kolonij rolnych dla żebraków i włóczęgów w celu dostarczenia im pracy.

— W Helsingforsie drukarze urządzili bezrobocie, skutkiem czego między innemi przestała wychodzić gazeta *Hufvud Stadsbladet*, a trzy inne wychodzą z opóźnieniem i w zmniejszonym formacie.

— W Szkocyi wybuchło bezrobocie służby kolejowej, skutkiem czego ruch kommunikacyjny między Anglią a Glasgowem ustał na kilka dni prawie zupełnie. Fabryki również jedna za drugą zawieszają roboty, bądź z braku węgla, bądź surowego materyału.

— Z Berlina donoszą, iż dotąd sprzedano limfy Kocha już na 4,000,000 marek.

— W Kalkucie zagajono szósty kongres narodowy Indyjski. Uczestniczy w nim 6,000 osób, w tej liczbie 1,000 delegatów z różnych dzielnic Indyj, jako przedstawiciel czteromilionowego ludu. Kongres dąży ku wyzwoleniu politycznemu Indów.

— We Lwowie odbyły się obrady walnego zebrania członków „Zarządu stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych." Rok ubiegły był bardzo pomyślnym dla tej instytucyi. Liczba członków wzrosła o 11,722 i wynosi obecnie ogółem 138.372. Fundusze własne w udziałach i kapitale rezerwowym wynoszą 5,856,430 zlr. (przyrost 287,632 zlr.). Wkładki oszczędności pomnożyły się o 1,356,147, tak iż suma ich ogólna daje $12^1/_2$ mil. zlr. Dobra sława instytucyi tak się rozszerza, że nawet sfery pozakrajowe wchodzą z nią w stosunki. Ogólny stan funduszów obcych, przez Towarzystwo wciągniętych do obrotu, dosięgnął teraz 16,316,000 zlr. więcej o 2,200,000.

— Opracowano projekt prawa o kolonizacyi obcokrajowej w Rosyi. Zostaje ona wzbroniona stanowczo i tylko minister spraw wewnętrznych będzie mógł upoważniać w wyjątkowych wypadkach do nabycia ziemi przez cudzoziemców, zawsze jednak z warunkiem przyjęcia poddaństwa ruskiego. Nowe przepisy uzupełniają prawo o cudzoziemcach, wydane w r. 1887. Obcokrajowcy w ciągu lat trzech powinni przyjąć poddaństwo lub sprzedać ziemię nabytą. Nowe prawo o wiele surowsze jest od poprzedniego, ale będzie czasowem, gdyż obowiązywać ma tylko do chwili wydania prawa o cudzoziemcach, opracowanego przez ministeryum sprawiedliwości. Do rzędu warunków koniecznych przy nadawaniu poddaństwa należy znajomość języka państwowego, tudzież praw podstawowych państwa.

— Na zebraniu mularzy w Poznaniu zgodzono się na normę pracy w przyszłej kampanii. Na r. 1891 dzień roboczy ustanowiono 10 godzin. W sobotę i wigilię świąt robota się kończy o godzinę wcześniej. Za każdą godzinę płaci się normalnie 40 fen., za godziny nadliczbowe po 50 fen. Tak samo za wyjątkową w nagłych razach pracę niedzielną. Na każdym placu budowlanym przedsiębiorca wystawić musi szałas zamykany na pomieszczenie odzienia, narzędzi i dla ochrony robotników w czasie niepogody.

Szkoły. Komitet ministrów zatwierdził projekt założenia jednego lub dwóch instytutów handlowych do kształcenia nauczycieli dla średnich szkół handlowych i agentów. Powstanie także szereg niższych szkół dla kształcenia subjektów, buchhalterów, tudzież niższych agentów. Wyższy instytut handlowy ma podobno powstać w Odesie.

— W roku bieżącym we wszystkich prawie powiatach gub. petersburskiej powstają posady nauczycieli zapasowych szkół miejskich, którzyby mogli zastąpić nauczyciela na wypadek choroby lub innej przeszkody.

— W gub. petersburskiej przy szkołach ziemskich postanowiono urządzić popularne odczyty o hygienie dla włościan.

— Sześcioklasowe gimnazyum klasyczne w Jakucku na Syberyi zamieniono na sześcioklasową szkołę realną z klasą przygotowawczą.

— Wiktor Besser z Petersburga zapisał na rzecz uniwersytetu krakowskiego 8,000 rs.

— Sprawa zmian w egzaminach gimnazyalnych, którą zajmuje się komisya specyalna, będzie rozstrzygnięta jeszcze przed 13-ym stycznia r. b.; nowy program stanie się obowiązującym w bież. roku szkolnym.

— Uniwersytet kazański na 1-ym kursie wydziału filologicznego w ciągu roku posiadał jednego tylko studenta.

— Wedle poglądu komisyi, obradującej nad przepisami egzaminacyjnymi, uczniowie dzielą się na 3 kategorye: celujących, którzy dostaną promocyę bez egzaminów, tych którzy nie będą dopuszczeni do egzaminów i — wątpliwych, którzy podlegają egzaminom. Egzaminy mają się odbywać tylko po ukończeniu kursów wykładu, np. arytmetyka kończy się w 3-ej, zatem egzamin przy promocyi do 4 ej. Ostateczny egzamin składa się ze wszystkich przedmiotów, tj. nawet z fizyki, języków nowożytnych itd. obecnie nie uwzględnianych przy egzaminach na patent.

— W sprawie reformy gimnazyów niemieckich ogólnie jaknajlepiej przyjęto cyrkularz 12-tu profesorów trzech wyższych instytutów technicznych, którzy oświadczyli się przeciw dotychczasowej organizacyi, jako nieodpowiadającej celowi. Profesorowie rozmaitych zakładów naukowych już na 8 grudnia nadesłali 86 odpowiedzi, warunkowo chwalących reformę, a 7 bezwarunkowo. Przeciwnych reformie — 9-ciu. Cyrkularzy rozesłano ogółem 160.

Sprawy kolejowe. Od kupców i mieszczan Archangielska przybywa do Petersburga deputacya, w celu starań o rychłe zbudowanie kolei Dźwińskiej, niezbędnej dla pomyślnego rozwoju Archangielska i wogóle prowincyj północnych.

— Na r. 1891 dla wielu kolei, a w tej liczbie: Nadwiślańskiej, Dąbrowskiej, Moskiewsko Brzeskiej i Libawsko-Romeńskiej będzie asygnowana kwota 6,000,000 rs. na wzmocnienie środków przewozowych i na rozwinięcie dróg podjazdowych.

— Ministeryum komunikacyi opracowało wzór budowy tanich bocznic, ażeby ogniskom przemysłowym umożebnić połączenie się z liniami większemi. Koszty obliczono po 7,500 rs. na wiorstę.

— Zarząd dróg Południowo-Zachodnich od r. 1880 zajęty jest sprawą budowy domów mieszkalnych dla urzędników i ficyalistów. W tym celu Towarzystwo dwa razy otrzymywało od rządu pożyczkę po 400,000 rs., a obecnie otrzymało jeszcze 200,000 rs.

— Zarządzający kolejami Polud.-Zachodniemi, A. Borodin, zabronił wszystkim wydziałom zarządu podawania do pism jakichkolwiek wiadomości, dotyczących stanu rzeczy lub rozporządzeń przez zarząd wydawanych albo otrzymywanych. Tkwi w tem widoczna chęć ukrywania światła pod korcem, z powodu wydanego niedawno rozporządzenia przez rząd, aby baczną zwracano uwagę na wszelkie przekroczenia zarządów kolejowych, ogłaszane w pismach.

Komunikacye. Nad uregulowaniem żeglugi parowej na Wiśle obraduje obecnie w Warszawie komisya specyalna, złożona z przedstawicieli władzy miejskiej i policyi rzecznej.

— Są czynione starania wprowadzenia komunikacyi telefonowej w szpitalu położniczym za zniżoną opłatą.

Wystawy. Wydział V ruskiego Towarzystwa technicznego zajął się sprawą urządzenia w marcu r. b. wystawy fotograficznej w Petersburgu.

— W r. b. urządzoną będzie w Petersburgu wystawa koni z całego państwa.

— Program zamierzonej wystawy drukarskiej jest już zupełnie wykończony.

— W Londynie odbędzie się w r. b. wystawa marynarska.

— Prezydent Harrison wydał proklamacyę, w której termin otwarcia wystawy powszechnej w Chicago oznacza na 1-szy maja i zaprasza do udziału wszystkie narody.

Przemysł i handel. W Lublinie znana firma „Donimirski i S-ka" zwija interes żelazny, prowadzony dotąd na wielką skalę i wyprzedaje wyroby po cenie kosztu.

— *Wiest. Finansów* donosi, że w ostatnich czasach w Król. Polskiem zjawili się agenci firm niemieckich, skupujący po cenach względnie niskich gotowe zapasy zboża. Znaczne zakupy są dokonywane na rachunek młynów królewieckich.

— Zeszłoroczny zjazd rolniczy w Kijowie powziął zamiar zawiązania bezpośrednich stosunków wytwórców z firmami handlowemi za granicą. W tym celu wyjeżdża obecnie sekretarz komisyi do Włoch, Francyi i Niemiec.

Wiadomości administracyjne. W skutek kwestyi podniesionej przez jednego z gubernatorów, czy policya w razie niewniesienia sum należnych od właścicieli dóbr przez ich dzierżawców, jeżeli ci ostatni poręczyli zapłatę, ma prawo zwracać egzekucyę do osobistego majątku dzierżawców, senat rządzący odpowiedział przecząco.

— Z rozporządzenia władz wyższych będzie dokonana rewizya dokumentów osób, używających tytułów książąt, hrabiów, baronów itp. Poddani ruscy, posiadający tytuły zagraniczne, winni postarać się o ich zatwierdzenie. Osoby, używające nieprawnie tytułów, będą pociągnięte do odpowiedzialności karnej.

Gospodarka leśna. Z powodu wielkiego znaczenia lasów w górach Kaukazkich ministeryum dóbr państwa tworzy tam kilka leśnictw, w celu zalesienia nagich stoków gór i zaprowadzenia odpowiedniego gospodarstwa leśnego. Przy tem powstanie szkoła leśna, która z czasem dostarczy techników dla właścicieli lasów prywatnych.

Zdrowie publiczne. W celu skuteczniejszego zbierania wiadomości o chorobach zakaźnych w Petersburgu, wszyscy wolnopraktykujący lekarze otrzymają karty pocztowe do zapełnienia ich nazwiskiem i adresem chorego, tudzież nazwą jego choroby. Także karty adresowane do starszego lekarza policyjnego otrzymują wszystkie szpitale, oraz rządcy ludniejszych domów.

Wiadomości literackie. Dn. 15 z. m. w Krakowie zawiązała się „Spółka wydawnicza" z kapitałem 100,000 zlr. celem wydawania dzienników, broszur, czasopism, dzieł treści beletrystycznej, popularnej lub ściśle naukowej, bądź pojedynczo, bądź całemi seryami. Od Nowego Roku spółka ta zacznie wydawać tygodnik popularny, przystępny dla wszystkich warstw społecznych

Bibliografia. R. M. *Antek sierota*, z powieści Teresy Jadwigi „Stacho,“ dla młodzieży, str. 37, Warszawa.

— F. M. *Przygody Robinsona* (w skróceniu) str. 62, Warszawa.

— J. Lubieński. *Przemysł rolny*, I Technologia mechaniczna przemysłu wiejskiego, tom I, str. 612, Warszawa (Wydawnictwo „Rolnika i hodowcy“).

— A. Nowicki. *Krótkie wskazówki do praktycznego badania gruntu*, przeł. z niem. A. Smoleński, str. 133, Warszawa (Wyd „Rolnika i hodowcy“).

— *Djabełek*, wesoły kalendarzyk, humorystyczno-karykaturowy. Warszawa.

Zmarli. Henryk Schliemann, w Neapolu. Słynny archeolog. W r. 1869 rozpoczął swe podróże archeologiczne po Grecyi, którym poświęcił życie swe i majątek. Poszukiwania robił prawie zawsze z pomyślnym skutkiem. W okolicach Hasarliku w Azyi Mniejszej dotarł do fundamentów Troi, a zapłaciwszy rządowi tureckiemu żądane odszkodowanie, stał się właścicielem znalezionych skarbów. W Itace odkrył szczątki miasta cyklopów; znalazł wiele cennych zabytków w Mycenach. Znaczny plon swych poszukiwań złożył w muzeum ateńskiem, bogaty zbiór darował Niemcom. Wzbogacił także literaturę archeologiczną kilku cennemi dziełami.

— Eugeniusz Charpentier, w Paryżu. Swojego czasu bardzo ceniony malarz bitew.

— Robert Reinsch, dr. filozofii z Lipska, został zamordowany na wyspie Breen.

— Oktawiusz Feuillet (ur. 1812 r.), dramaturg i powieściopisarz, odznaczający się wytwornością dworaka. Z jego utworów grano na scenie naszej z powodzeniem „Za i przeciw“, „Owoc zakazany“, „Wróżkę“, „Dalilę“, „Pokusę“, „Montjoye“, „Sfinksa“, „Akrobatę“, „Dwa światy“, „Podróżnika,“ wreszcie przerobioną z powieści „Miłość ubogiego młodzieńca.“

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

S. Dem. w K. Sprawozdań z życia Niemiec mamy dostatek od współpracowników (dotychczasowych — dla nowych więc zbrakłoby nam miejsca. Zresztą artykuł Pański nie zawiera nic nowego ani pod względem uwag, ani pod względem faktów.

Panu R. Z. w K. Nie spójniki, ale przysłówki. Czy zaś należy je pisać razem, czy w rozdzieleniu — to jest kwestyą osobistego uznania, podobnie jak w wyrazach: wogóle, wskutek, zapomocą itd.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

OGŁOSZENIA.

Zamknięcie LISTY PRENUMERATORÓW WIELKIEJ Encyklopedyi ilustrowanej nastąpi nieodwołalnie d. 1 lutego r. b.

Stosownie do zapowiedzi w prospektach, z dniem 1-ym lutego r. b. lista prenumeratorów zostanie zamkniętą i cena Encyklopedyi dla późniejszych nabywców podwyższoną będzie z 50 na 60 kop. (z przesyłką 70 kop.) za zeszyt, gdyż wobec olbrzymich kosztów wydawnictwa, ilość nakładu musi być zastosowaną ściśle do cyfry przedpłacicieli i tylko mała liczba zapasowych egzemplarzy drukowaną być może.

Wszyscy jednak abonenci, zapisujący się przed d. 1-go lutego r. b., otrzymywać będą Encyklopedyę, aż do końca wydawnictwa, po cenie pierwotnej 50 kop. za zeszyt. Wnoszący odrazu należność za rok cały, czyli za 24 zeszytów, **nie będą ponosić kosztów przesyłki, zapłacą więc tylko 12 rs.**, zamiast 14 rs. 40 kop.

Po wyczerpaniu nieznacznej ilości zapasowych egzemplarzy pierwszych tomów, jakie pozostaną na składzie, cena Encyklopedyi w handlu antykwarskim wzrośnie niewątpliwie w dwójnasób lub w trójnasób, jak to zwykle z tego rodzaju wydawnictwami się dzieje.

Redakcya i administracya w Warszawie, ul. Chmielna Nr. 9.
Telefonu Nr. 564.

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłom. K. Lewald rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom K. Lewald—rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za **połowę ceny**. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność ro ślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Baral i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Blazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug., Damian Capenko—k. 50.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w trzech aktach— k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20 z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), [illegible]

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, w przekładzie A. Bąkowskiej — rs. 2., z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 25.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 21 Декабря 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.